Numer świąteczny
zamiast obrazka, dajemy 10 kartek więcej.

Nr. 4. Kraków, kwiecień 1911. Rok XII.



PISMO DLA WSZYSTKICH
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . .	kor. 2·00	za granicą .	marek 2·00
półrocznie .	„ 1·00	pojedynczy numer	20 gr.

W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 60 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II. P.

Wesołych Świąt!

Zmartwychwstanie.

Świta dzień! znikła noc...
Niebo się rumieni —
Zorzy blask — słońca świt
W tysiącach promieni
Pali się na niebie — nad ziemią unosi,
A dzwonów pieśni rzewna wieść słodką roznosi
Skończone cierpienie —
Ból — męki — konanie —
Zwycięztwo nad śmiercią
Bo dziś — Zmartwychwstanie!

Kędy krzyż — Zbawcy znak
Gdzie wiary siew wzrasta —
Płynie pieśń — dzwoni dzwon
Na wioski, na miasta —
Radujcie się ludzie — moc piekła złamana
Po męce i śmierci wschodzi tryumf Pana.

Weselcie się wszyscy
Niech smutek ustanie —
Dziś Święto zwycięztwa
Bo — dziś — Zmartwychwstanie!

Krzywdy cierń, bolów łzy,
Co kaleczą ludzi...
I ten chleb — czarny chleb
Te codzienne trudy
Nikną dziś w rozświcie — życie promienieje
A dzwonów pieśń rzewna, słodką nutę sieje—
— O biedni! wzgardzeni!...
— Na praojców łanie...
— Uwierzcie w dzień przyszły
— Bo jest Zmartwychwstanie!

Jadwiga.

Zawczesny jubileusz.

Dzienniki rozgłosiły po świecie, że w państwie moskiewskiem obchodzono d. 4. marca b. r. piędziesiątą rocznicę „zniesienia pańszczyzny“. Wiadomość ta jest bardzo nieścisła i niedokładna, pod rządem carskim bowiem zniesiono pańszczyznę dopiero dnia 3. marca 1864. roku, a więc nie przed piędziesięciu, tylko przed czterdziestu siedmiu laty. Przed laty piędziesięciu dnia 4. marca 1861. roku zniesiono poddaństwo, a raczej osobistą niewolę chłopów moskiewskich; pańszczyzna zaś w takiem znaczeniu, jakie miała w Polsce, pozostała na razie wówczas u Moskali nadal. Trzeba bowiem wiedzieć, że przed rokiem 1861. włościanie moskiewscy nie tylko odrabiali pańszczyznę, ale zarazem byli osobistą własnością swoich dziedziców; własnością, którą można było sprzedawać, darowywać, mieniać, zastawiać i t. p., jakby jaki żywy inwentarz. To też w Moskwie oceniano wówczas dobra nie jak u nas na morgi, albo na hektary, tylko na „dusze“. Im dziedzic moskiewski miał więcej „dusz“, tem był majętniejszy, bo te „dusze“ musiały na niego pracować, a co zarobiły, co uskładały z pracy swojej, to wszystko było jego własnością. Zdarzało się, że włościanin moskiewski, za zezwoleniem swojego dziedzica, osiedlił się w mieście, został kupcem i dorobił się majątku; nie przestał jednak przez to być własnością swojego pana. Owszem, nie tylko on, ale cały jego majątek i wszystko co miał, nawet żona, synowie i córki należały do dziedzica, który mógł niemi rozporządzać według swojej fantazyi i upodobania.

Okropne to były stosunki, jakich Polska nigdy nie znała. Po zagarnięciu ziem polskich, rząd carski, chcąc wywołać niezgodę i nienawiść pomiędzy dziedzicami, a włościanami, obostrzył i powiększył pańszczyznę, nie odważył się jednak na wprowadzenie osobistego poddaństwa. Gdy więc w roku 1861. zniesiono pod rządem carskim to poddaństwo, a nie pańszczyznę, jak nieściśle rozgłosiły dzienniki, w położeniu naszych polskich, t. j. mazurskich, litewskich i ukraińskich włościan nie zaszła żadna zmiana, gdyż pańszczyzna trwała dalej i byłaby trwała nie wiadomo jak długo, gdyby nie nasza ostatnia walka orężna o wolność z 1863. i 64. roku. Dopiero gdy polski Rząd Narodowy, rozpoczynając bój z Moskwą, ogłosił d. 22. stycznia 1863. roku równość wszystkich stanów i zniesienie pańszczyzny i gdy walka ta prowadzona z nadludzkiem męstwem i poświęceniem trwała przez pietnaście miesięcy, rząd carski zdecydował się na zniesienie pańszczyzny. Tak więc ukaz carski z d. 3. marca 1864. roku, znoszący pańszczyznę był tylko spełnieniem woli Rządu Narodowego, objawionej w dniu 22. stycznia 1863. roku i zwycięstwem naszego ostatniego powstania.

Ukaz carski o zniesieniu pańszczyzny ogłoszono uroczyście d. 6. marca 1864. roku na placach i ulicach Warszawy, chcąc zaś wmówić w lud polski, iż zniesienie to zawdzięcza carowi Aleksandrowi II., postawili Moskale pomnik temu ciemięzcy Polski, w Częstochowie, u stóp Jasnej Góry.

Pomnik trwać będzie do czasu, prawda zaś nigdy trwać nie przestanie, prawda, która stwierdza, że lud polski zawdzięcza uwolnienie od pańszczyzny nie carowi moskiewskiemu, tylko bohaterom i męczennikom styczniowego powstania, którzy szli w bój z imieniem Polski i wolności na ustach, którzy z imieniem tem konali na szubienic drzewach.

Prawdą również być nie przestanie, że pańszczyznę w zaborze moskiewskim zniósł polski Rząd Narodowy d. 22. stycznia 1863. roku, a nie ukaz carski z d. 4. marca 1861., ukaz, który uwolnił tylko włościan moskiewskich od osobistej niewoli, jakiej nigdy nie podlegał lud polski. *Ostap.*

W Wielki Piątek.

Tak mi się czasem wydaje, o Chryste,
Że nie tam kędyś daleko, za morzem,
Aleś tu u nas, miał drogi ciernistę,
I żeś tu naszem przechodził się zbożem,
Puszczając palce po harfie tych kłosów,
Co mają ludzki jęk i echa głosów.

I że tu w którejś z chat naszych, o Panie,
Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Był twój wieczernik smętny i rozstanie,
I chleb łamany z braćmi, i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ściany,
I pożegnania kielich — krwią nalany.

I zdaje mi się, że te nasze sosny,
Te brzozy białe, szumiące wśród niwy,
To był ogrojec twej męki żałosny,
To były twoje miesięczne oliwy,
I że tej nocy twój pot kapał krwawy
Na leśne zioła nasze i na trawy.

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
W pęta zakuty i sieczon u słupa...
Bo tak mi, Chryste, znajome twe rany,
I siność twoja, i katów twych kupa,
I świst rzemieni, co krają, jak nożem, —
Że to nie mogło być gdzieś tam, za morzem!

I wiem, że tutaj, na miedzy, wśród drogi,
U jakiejś starej, zapadłej mogiły,
Wyrość musiały te ciernie i głogi,
Które w twą głowę bolesną się wpiły —
Bo żadne inne tak ranić nie mogą,
Jak te, co rosną tu, nad naszą drogą!

I to wiem, Panie, żeś tu kędyś blizko,
Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko,
I żeś krwią swoją tę ziemię zakrwawił,
I obraz na niej swej męki zostawił,
I patrzę nieraz na pola te puste
Jako na ową z Jeruzalem chustę.

I widzę we mgle śnieżystej zdaleka,
Z twarzą znędzniałą, z łachmanem na grzbiecie,
Pochylonego ku ziemi człowieka,
Którego wielki krzyż śmiertelnie gniecie,
I wiem, że to jest Cyrenejczyk Chrysta
A resztę mgła mi kryje, mgła śnieżysta.

I wiem, i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był do krzyża przybity o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota,
I takie blasków słonecznych konanie,
I taka żałość, i tak do ostatka
Przy krzyżu syna, nigdzie nie trwa matka.

I zdaje mi się, żeś tu wyrzekł słowa:
„Eli, Eloi, lamma sabbathani?„
Że tu z ramienia zwisnęła ci głowa,
I żeś tu skonał i zszedł do otchłani,
Gdzie wszystko chwili wybawienia czeka,
Od polnych głazów, do serca człowieka.

I zdaje mi się, że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawalon kamieniem.
I że straż pilna czyni się przy tobie...
Ale ja czekam z tęsknotą i drżeniem,
Bo wiem, i czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim będzie twoje zmartwychwstanie!

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Po zwycięskich bojach.

Zawarłszy pokój z Moskwą, zajął się król Stefan przy pomocy uczonego prałata ks. Dymitra Solikowskiego, późniejszego arcybiskupa lwowskiego, uporządkowaniem spraw inflanckich, przyczem podzielono Inflanty na trzy województwa: parnawskie, dorpackie i wendeńskie. Teraz granice Rzeczypospolitej rozpostarły się wzdłuż morza Bałtyckiego, a w szczególności wzdłuż zatoki rygskiej, daleko ku północy, aż do Estonii, położonej nad zatoką fińską. Nowe województwa otrzymały polskie urządzenia, a mieszkańcy ich takie swobody, jakiemi cieszyli się inni Polacy. Następnie wyjechał król na sejm do Warszawy, gdzie z poduszczenia Zborowskich, zawiedzionych w swoich nadziejach, spotkały go rozmaite przykrości i zarzuty, że dąży do samowładztwa i ukrócenia wolności narodowych. Zamoyski i trzymający z nim posłowie, wystąpili zwycięsko w obronie króla. To też król, który Zamoyskiego

wysoko cenił, chcąc go jeszcze bardziej do siebie przywiązać, oddał mu za żonę bratankę swoją Gryzeldę Batorównę. Była to już trzecia żona Zamoyskiego. Tak, chociaż wdowiec po dwóch żonach, stał się ten twórca złotej wolności narodu i braterskiej równości rycerskiego stanu, liczący już przeszło lat 41, mężem pięknej i młodej księżniczki siedmiogrodzkiej i członkiem panującej książęcej rodziny. Podobało się to bardzo narodowi, a zwłaszcza członkom rycerskiego stanu, obierającym króla i uważającym się za urodzonych kandydatów do królewskiej korony; to też podczas wspaniałych uroczystości, jakiemi uczcił król zaślubiny swej bratanki w czerwcu 1583. r. w Krakowie, powstał dwuwiersz, powtarzany wówczas z zadowoleniem przez Polskę całą:

„Ożenił się równy z równą,
Pan Zamoyski z Batorówną",

Swaty i weselne uroczystości nie przeszkadzały królowi w ciągłej pamięci o sprawach Rzeczypospolitej i pracach około jej dobra. Przewidując niebezpieczeństwa, jakie w przyszłości zagrozić miały Polsce ze strony coraz bardziej wzrastającej potęgi państwa tureckiego, zamierzał w stosownej chwili do reszty pokonać Moskwę i zmusić ją do wspólnego z Polską przeciw Turcyi działania. Do przeprowadzenia tych zamiarów potrzeba było potężnej i dobrze urządzonej siły zbrojnej; to też Stefan Batory zajmował się nią gorliwie. Stałe wojsko polskie, zwane kwarcianem, od tego, iż jak wiadomo, szła na jego utrzymanie czwarta część, czyli z łacińska kwarta dochodów z dóbr królewskich, składało się głównie z jazdy, gdyż służyła w niem wyłącznie szlachta, która na piechotę wojować nie lubiała, gdy zaś piechota stawała się na ówczesnych wojnach coraz potrzebniejszą, musiano używać najemnych oddziałów pieszych niemieckich i węgierskich, zajmujących się z zawodu żołnierką, bez względu na sprawę, o którą bój się toczył. Było to bardzo kosztownem i niebezpiecznem, żołnierze bowiem, walczący jedynie dla zysku, łatwo mogli się zbuntować, a nawet dopuścić zdrady.

To też jeszcze przed moskiewską wojną postarał się król o utworzenie narodowej piechoty łanowej, do której werbowano włościan z dóbr królewskich, zwano zaś ją dlatego „łanową", że ilość ochotników, których w poszczególnych wsiach wolno było zaciągnąć w szeregi, ograniczona była ilością łanów, z jakiej się wsie te składały. Piechota łanowa w czasie wojny moskiewskiej wielkie usługi oddała Rzeczypospolitej i niejednokrotnie okryła się chwałą. Teraz myśląc o przyszłej wojnie tureckiej, zwrócił król uwagę na kozaków zaporoskich i postanowił zużytkować ich przeciw Turkom.

Opowiadając o czasach zygmuntowskich, wspomnieliśmy,*) że król Zygmunt I. pragnąc chociaż trochę utrudnić napady Tatarom, obsadził wyspy Dniepru, znajdujące się w dolnym biegu tej rzeki, wśród wodospadów, czyli progów dnieprowych, zwanych „porohami", a położonych o dwieście kilkadziesiąt kilometrów powyżej ujścia Dniepru do Czarnego Morza, dwoma tysiącami ochotników, pod wodzą Ostafiego Daszkiewicza. Po śmierci tego dzielnego żołnierza gdy brakło silnej ręki, któraby w karbach utrzymała Zaporożców, utworzyło się z nich prawie zupełnie niezależne bractwo żołnierskie, które żyło z połowu ryb i polowania, a jak się udało z rabunku i grabieży. Na Zaporożu gromadzili się ludzie odważni i młodzi, ze wszystkich pobliskich krajów, głównie jednak z Ukrainy i innych dzielnic Polski. Dążyło tam wielu wskutek animuszu rycerskiego i żądzy przygód, po największej jednak części byli to zbiedzy, uciekający przed wymiarem sprawiedliwości. Gdy kto przeskrobał co w Polsce, Węgrzech, lub na Wołoszczyźnie, a nie chciał odcierpieć należnej mu kary, uciekał do Zaporożców. Tam, gdy

*) Nr. 4, kwietniowy „Przodownicy" z roku 1909. str. 45.

był tęgi chłop, sprytny do konia, szabli i wiosła, nikt go nie pytał co zacz? jak się zowie i co przewinił. Zostawał mołojcem, t. j. kozackim żołnierzem i razem z drugimi łapał ryby, polował i wyprawiał się bądź Dnieprem i morzem na czajkach t. j. wązkich i długich łodziach przeciw Turkom, bądź konno przez stepy przeciw Tatarom, Wołochom, a jak bieda przycisła to i przeciw mieszkańcom Ukrainy.

Zaporożce mieszkali na niedostępnych wyspach dnieprowych, w zasiekach, t. j. warowniach wałami ziemnymi i drzewem ubezpieczonych, od sieczenia drzewa zwanych Siczami. Dzielili się na kurenie, czyli pułki, składające się ze sotni, po stu ludzi liczących. Sotniom przewodzili setnicy, kureniami dowodzili pułkowodzcy, a całem towarzystwem komenderował ataman koszowy, czyli obozowy, gdyż obóz kozacy zwykle koszem zwali. Ataman miał do pomocy pisarza koszowego, sam zaś nie powinien był umieć pisać, ażeby nie zawarł i nie podpisał, jakiego układu, szkodliwego towarzystwu.

Obawiali się także Zaporożcy, ażeby obecność kobiet nie wywoływała pomiędzy nimi zazdrości, nieporozumień i sporów — dlatego kobietom pod karą śmierci wzbroniony był wstęp do Siczy i całego jej okręgu. Nikt nie bronił mołojcowi mieć żony, albo kochanki, ale nie wolno mu było wprowadzać jej w obręb Zaporoża.

Kozacy zaporożcy w ogóle tworzyli społeczeństwo męskie bardzo waleczne i wojskowo znakomicie wyćwiczone, ale o bardzo rozmaitej wartości moralnej, tak samo, jak ilość mołojców, która bywała bardzo zmienną – czasami było ich kilkuset zaledwie, czasami zaś i kilkanaście tysięcy.

Z tem wszystkiem, wziąwszy się zręcznie do rzeczy, można było „wojsko zaporoskie“, jak się urzędownie zwali Zaporożcy, zużytkować, jako znakomitą siłę wojenną, zwłaszcza w razie wojny przeciw Turcyi.

Postanowił to uczynić Stefan Batory i ze zwerbowanych Zaporożców utworzył pułki lekkiej jazdy, liczące 6 tysięcy ludzi. Nad pułkami tymi przełożył hetmana, mianowanego przez siebie, któremu dał na mieszkanie zamek Trechtymirów nad Dnieprem, a jako oznaki władzy hetmańskiej buławę i malinową chorągiew z białym aniołem Ukrainy. Pułki te zwano Kozakami regestrowymi, gdyż służący w nich mołojce zapisani byli w spis czyli regestr, utrzymywany przez hetmana. (C. d. n.)

Inż. Eustachy Śmiałowski.

Przedwcześnie.

Jeszcze słomą okryte śnią róże,
I nagie gałęzie w oplotach,
Choć wiosenne gdzieś huczą tam burze
I niwy się budzą w mgieł zlotach.

Ptactwo gromadą oblatuje całą
Patrzy ku ziemi żałośnie,
Może co w bruzdach z jesieni zostało,
Co je wyżywi w przedwiośnie.

Jeszcze radosne, nie płyną ich gwary
W powietrzu nad łąk rozłogi,
Choć lśnią do słońca, tęczowo moczary,
I dzikie pękają głogi.

Czekajcie—czas jeszcze nie długi —
Wyjdą z pługami o świcie,
Pokryją pola ruń zielonych smugi,
Uśpione ocknie się życie.

Wtedy—i moje serce się obudzi,
Ze snu ciężkiego powstanie,
I wyjdzie ufne, naprzeciw do ludzi,
Po nowy ból — nowe kochanie.

A. B.

Zakopane w marcu.

Nie częstujcie dzieci napojami upajającemi!

Pewna matka zachęcała swe dziecko, chłopca dziesięcioletniego, do wypicia kieliszka wódki. Gdy chłopczyna nie okazywał wielkiej chęci, parzenia sobie języczka okropnym płynem, zachęcała go matka temi słowy: „Pij dziecko wódkę, choć ci to nie smakuje, później polubisz z pewnością ten trunek, a będziesz krzepki do roboty i zdrowy!" Chłopiec dał się w końcu przekonać i krzywiąc się przyłożył kieliszek do ust. Lecz jeszcze nie zdążył przełknąć pierwszych kilku kropli, gdy wtem nadszedł ojciec.

Widząc dziecko z kieliszkiem przy ustach, zbliżył się szybko do niego, wyrwał kieliszek z ręki i rzucił o ziemię, że szkło rozprysło się na drobne kawałki — surowo nakazał dziecku, by nigdy niepoważyło się pić wódki, a do żony zwrócił się z gorzkimi wyrzutami. Biedaczka, przerażona, nie wiedziała w pierwszej chwili co sądzić o całem zajściu. Wiedziała, że mąż lubi zaglądać do kieliszka. Sądziła przeto, że sprawi mu tem przyjemność, gdy przyzwyczai dziecko wcześnie do tych samych trunków, które polubił ojciec.

Długo przecież nie potrzebowała czekać na wyjaśnienie dziwnego zajścia. Gdy mąż ochłonął z gniewu, odezwał się w te słowa: „Nie myślałem, kobieto, żeś taka głupia! Wprawdzie sam nie gardzę kieliszkiem wódki. Niektórzy nawet uważają mnie za pijaka. Rozpiłem się, bo mnie pić za młodu nauczyli. Ale nie życzę sobie, aby dzieci moje podobnie czyniły. I póki sił mi starczy, czuwać będę nad tem, aby nikt nie częstował dzieci moich napojami odurzającymi!"

Zdarzenie powyższe jest bardzo pouczające.

Widzimy stąd, że zaczyna u naszego ludu już tu i ówdzie świtać.

Niestety przyznać trzeba, że są to dopiero wyjątki. Zazwyczaj dzieje się tak, że większość ludzi mało się troszczy o przyszłość dzieci. Owszem nie tylko nie broni się dzieciom kieliszka, lecz w wielu rodzinach zachęca się je słowem i przykładem, aby zawczasu uczyły się pić wino, piwo lub wódkę.

Bywają w naszem społeczeństwie nawet tak ciemni czy zaślepieni rodzice, że cieszą się na widok dziecka podpiłego.

Tego rodzaju zgubne zapatrywania i objawy muszą uledz zmianie, inaczej nigdy nie pozbędziemy się pijaństwa.

Na cóż się zda, że śmierć uwalnia rok rocznie nasz kraj od kilku tysięcy pijaków, skoro z młodszych pokoleń nowi wyrastają pijacy?

Ratujmy zatem dzieci nasze i chrońmy je od pijaństwa. Ci którym pijaństwo nie zaciemniło jeszcze rozumu, nie zaprzeczą z pewnością, że ta sprawa ma wielkie znaczenie dla przyszłości naszej ojczyzny.

Wiadomo, że ratowanie nałogowego pijaka jest zadaniem przechodzącem nieraz siły ludzkie. Lecz z dziećmi ma się sprawa zupełnie inaczej. Tam nasze wysiłki nie pójdą na marne, bo dziecko nietylko niema przywiązania do kieliszka, lecz zazwyczaj ma doń rodzaj obrzydzenia. W wielu wypadkach starczyłoby dzieci nie częstować trunkami, nie przymuszać do nich i w odpowiedni sposób o ich szkodliwości pouczać.

Lecz zazwyczaj dzieje się przeciwnie. Dlaczego?

Różne istnieją powody rozpowszechnionego u nas zwyczaiu częstowania dzieci napojami alkoholowymi.

Jedną z głównyzh przyczyn tego smutnego objawu jest głęboko zakorzeniona w polskim ludzie wiara lub raczej przesąd o porzytku napojów upajających. Nie spisałby, jak mówią, na wołowej skórze, tych wszystkich, niby to dobrych skutków jakie mają rzekomo napoje upajające wywoływać.

Zdaje się ludziom, że alkohol ich wzmacnia, pokrzepia i leczy, że ich grzeje lub chłodzi, podnosi na duchu i rozwesela itd. Więc powiada niejeden, to co dla mnie jest

dobre, nie może dzieciom szkodzić i nuże częstować, zachęcać a nawet przymuszać dzieci do picia wina, piwa lub wódki.

W ten sposób łatwo można wytłumaczyć ten skądinąd niepojęty objaw, że nieraz wyrostki ośmnastoletnie już są nałogowymi pijakami.

Nie myślę tutaj rozwodzić się obszernie nad szkodliwością napojów upajających. Boć o tej sprawie każdy sam naocznie może się najlepiej przekonać. — Powiem tylko to jedno: Gdyby napoje alkoholowe były tak dobre i pożyteczne, jak to wielu twierdzi, czy nie polecanoby jednomyślnie tych napojów w całym świecie? A tymczasem cóż widzimy? Tylko szynkarze zachęcaią ludzi do picia, bo mają w tem swój interes.

A pozatem widzimy, że tysiące lekarzy, duchownych, nauczycieli i innych ludzi różnych stanów, ze wszystkich sił stara się odwrócić ludzkość od kieliszka, nazywając napoje upajające zgubą i nieszczęściem ludzkości.

Niema dzisiaj gazety, któraby nie przytaczała rok rocznie niezliczonych wypadków nieszczęśliwych i zbrodni powstałych pod wpływem alkoholu, niema ambony, z którejby duszpasterze nie ubolewali nad zgubnymi skutkami pijaństwa, niema towarzystwa, któreby nie zachęcało członków do trzeźwości.

Jakże wobec tego mogą jeszcze ludzie twierdzić, że napoje upajające są dobre, pożyteczne?

Lecz jeźli mimo to wszystko ktoś koniecznie chce obstawać przy swojem, że niema lepszej rzeczy nad kielich i kufel, nie myślę z nim się sprzeczać. Życie samo pouczy go jeszcze, po czyjej stronie jest prawda.

Ale inaczej ma się sprawa z dziećmi. Przy odrobinie dobrej woli i przywiązania dla dziatwy naszej każdy musi przyznać, że napoje alkoholowe, nietylko nieprzynoszą dzieciom najmniejszego pożytku, lecz szkodzą w każdym wypadku.

Dzieci porównać można z roślinkami, które pod wpływem ciepła wiosennego pierwsze zaczynają puszczać wątłe i delikatne listeczki. Podczas gdy wyrosły krzew lub drzewo zniesie jako tako przymrozki wiosenne, burze i grady, to młode roślinki zgładzi nieraz już ostrzejszy podmuch zimnego wiatru.—Podobnie ma się rzecz i z ludźmi. — Niejeden człowiek dorosły napił się trucizny, upił się alkoholem i w krótkim czasie przyszedł do zdrowia.

Ale czy wątły organizm dziecka zniesie bezkarnie to samo, na co pozwalają sobie w swej lekkomyślności starsi? – Posłuchajmy co mówią o tem ludzie doświadczeni, którzy z szczególnem zamiłowaniem zajmowali się sprawami dzieci, badali przez dziesiątki lat to, co dzieciom pożyteczne lub szkodliwe.

Słynny profesor uniwersytetu i lekarz, dr. Kraepelin pisze między innemi: Tysiące matek zatruwa systematycznie dzieci swoje alkoholem, który dzieci ogłupia i robi z nich niedołęgi. Dlatego precz z alkoholem! ażebyśmy sami młodego pokolenia nie doprowadzili do zwyrodnienia.“

Nader znamienne zdanie wygłasza w jednym z swoich listów pasterskich ksiądz biskóp Paweł Keppler:

„Serce mi się krwawi, gdy wspomnę, że rodzice nie dają dzieciom pokarmu naturalnego,'mleka, a karmią je alkoholem. Nazwać to muszę grzechem wołającym o pomstę do nieba i wystąpić muszę stanowczo przeciw takiej zbrodni zatruwania“.

Możnaby jeszcze przytoczyć wielkie mnóstwo zdań znakomitych mężów, potępiających surowo częstowanie dzieci napojami upajającemi. Lecz sądzę, że rodzicom dobrej woli, rozum i serce dopowie resztę. — Niechaj ci, którym powierzono opiekę nad dziećmi, badają sami potrzeby swych dzieci, a przekonają się rychło, że napoje alkoholowe nigdy nie przynoszą pożytku, a w wielu wypadkach nieobliczalne wyrządzają szkody.

Jeśli zatem dziecko ma pragnienie, nie gaście go alkoholem, lecz wodą źródlaną,

do której wolno dodać cukru, lub soku owocowego, jeśli wam na to starczy.

Dziecku słabowitemu nie dawajcie wódki ani nawet piwa lub wina, choćby najlepszego. Odżywiajcie je zdrowemi pokarmami, zwłaszcza mącznemi i mlekiem, dawajcie mu dużo swobody, ruchu i świeżego powietrza, a nie ociągajcie się przedewszytkiem z szukaniem porady u samego lekarza.

Czytajcie wreszcie uważnie to, co piszą w książkach i gazetach, o szkodliwości napojów alkoholowych, abyście mogli skutecznie pouczać dzieci wasze o zgubnych skutkach tych napojów.

Matki zaś, które karmią niemowlęta oraz te, które są przy nadziei, niechaj nie zapominają o tej prawdzie, że nie wolno im w tym czasie używać żadnych napojów upajających. Alkohol bowiem jako płyn nader lotny dostaje się z łatwością do krwi i mleka matczynego i przedwcześnie zatruwa młodziutki organizm dziecięcy.

Gdy dziecię zacznie podrastać, gdy bezwiednie zaczyna naśladować zwyczaje starszych, dbajcie rodzice o to, aby wasi znajomi nie zburzyli tego, co wyście w duszy dziecka zbudowali; nie prowadźcie dzieci do domów, gdzie panuje pijaństwo i nie pozwólcie, aby dzieci posyłano do karczmy po napoje upajające.

Powyższe rady podyktowało długoletnie doświadczenie i serdeczna miłość ku waszym dzieciom.

Gdy pójdziecie za temi wskazówkami doczekacie się tej pociechy z dzieci waszych, że wyrosną na ludzi trzeźwych, a przyszłe pokolenie będą wam błogosławić, żeście się przyczynili do uwolnienia ojczyzny naszej od plagi pijaństwa.

„NASZA JEJMOŚĆ“
CZYLI
„BABY WIELKANOCNE“

Rzekł ktoś: „książka bez przedmowy
Jest tak, jak tułów bez głowy!“
Przeto muszę dać przedmowę,
Żeby Jejmość miała głowę.

PRZEDMOWA.

Rzadki dziś gość uśmiech w twarzy;
Same dąsy, same kwasy,
Kogo spotkasz już się skarży:
„Ciężkie czasy, ciężkie czasy“,
„Oj co źle, to źle mospanie!“
A mnie porwała myśl pusta,
Choć raz w rok, na Zmartwychwstanie,
Śmiech wywołać wam na usta.

Hałas, tartas, rwetes, wrzawa, łoskot, łomot jak [w młocarni,
W izbie parno, ścisk, kurzawa, drzwi wciąż skrzy- [pią u spiżarni.
Znoszą masła, jaja, sery, mąki, cukry i korzenie;
Jak jest w domu dziewek cztery, jedna za drugą [żenie.

Skrobią myją, w piecach palą, wiercą, tłuką, [szyją wrzeszczą,
Ledwo domu nie rozwalą, aż w piekarni belki [trzeszczą!
Wszystko kłębi się jak w garnku, ledwo na gło- [wach nie chodzą.
„Co to jest?... czy wir jarmarku?..“ Gdzie [tam, to święta nadchodzą.

Jejmość to jak Marek w piekle, torem czcigod- [nej prababy,
Żwawo, ogniście, zaciekle, bije na Wielkanoc [baby.
Bije placki, jajeczniki, torty, mazurki, kołacze;
Z tych powodów takie krzyki — dlatego jejmość [tak gdacze.

Tak grzmi, trąca, łaje, bredzi, djabłami sadzi aż [miło,
Że pies w domu nie usiedzi — aby ciasto się [ruszyło...
I musi się gwałtem ruszyć, gdy jejmość tak gębą [rusza,
O wzroście bab można tuszyć, Jejmość jest to [babia dusza!

Nikt sobie tak nie poradzi, jak nasza Jejmość [przy cieście:
Gdy baba w górę nie sadzi, wnet w nią buch- [nie djabłów dwieście.

Jak ci panicze z nienacka, pochwycą ją na paz-
[nokcie,
Nie pomoże i krzyk Jacka, rośnie baba na dwa
[łokcie.

Lecz trzeba dwieście koniecznie; jak dasz mniej
[dozys słaba,
Jak dasz więcej niebezpiecznie, może się roz-
[sadzić baba.
Bo jak babie nie wygodnie, wnet jej na nos
[siądzie chmura;
To się skrzywi, to opadnie, to zakalce albo dziura.

Na tem też to właśnie sztuka, miarę zachować
[w ilości;
Oj trudna to jest nauka, zapytajcie się Jejmości.
I Jejmość jak młodszą była, także nieraz prze-
[sadzała;
Raz jak tysiąc djabłów wbiła, baba mazią się
[rozlała.

Lecz dzisiaj tak źle nie będzie, sławna czynem,
[sławna sprawą,
Sto bab z piwa wydobędzie, a za każdą woła
[„brawo ... “
A każda w swym charakterze, pulchna rosła,
[lekka sztywna,
A jak ją Jejmość ubierze w czepek cukru, to
[przedziwna.

Zostawmy więc gospodynię, przy jej ważnem za-
[trudnieniu,
Przy mące, drożdżach, rozczynie, formach, jajach
[i korzeniu.
Niech grzmi, trąca, łaje, bredzi, wstrząsa piekieł
[fundamenta,
Jutro pójdzie do spowiedzi, da Bóg, że się upa-
[mięta.

Tymczasem nim Jejmość nasza, uwieńczy swe
[szczere chęci,
Nim ksiądz djabłów pozostrasza, dom i pieczywo
[poświęci;
Nim chrześcianom dookoła, dzwon zgłosi Zmar-
[twychwstanie,
Chodźmy bracia do kościoła, na Chrystusa po-
[witanie.

Cierpiał on za prawdę wiele, bo to prawda w oczy
[kole,
Dał nam przykład przyjaciele, jak krzyż dźwigać,
[znosić bóle.
Dziś już pękła moc szatana, patrzcie jak dzwon
[w górę buja:
Chodźmyż wielbić z ludem Pana, resurexit Alleluja!.

Już lud z kościoła powraca, i Jejmość już wraca
[nasza,
Musiała się udać praca, bo nas z uśmiechem za-
[prasza.
No chodźmyż w wesołem kole, a idąc ojców zwy-
[czajem,
Uściśniemy się przy stole, dzieląc się święconem
[jajem.

Otóż mamy i święcone! a praca nie była marną;
W którą okiem rzucisz stronę, pieści wzrok
[pszeniczne ziarno.
Co za baby! jakie ciasta! jaka lekkość! a smak
[jaki!
Jejmość coraz bardziej wzrasta, a że skromna
[piecze raki.

Więc gdy nam się pora zdarza, nie czyńmy do-
[mowi sromu,
Nie mijając gospodarza, zacznijmy od pani domu:

„Oby wam łaskawe nieba,
Darów swoich nie szczędziły,
Oby nam nie brakło chleba,
Ani życia, ani siły, —
Byśmy byli ufnymi,
W Bogu mogli się weselić,
I wszystkiem z nieszczęśliwemi,
Jak tem jajkiem się podzielić!“

Dobra córka.

Zaczynamy jak zwykle od słów: było to dawno. Czemu tak? Zdaje się łatwo odgadnąć. W czasach dawnych, dużo znajdziemy wzorów do naśladowania, więc z tych lat dawniejszych czerpiemy opowieści i z obrazów życia dawnych ludzi uczymy się wiele.

Było to w Anglii.

W ubogiej izdebce tkacza Tomasza siedziała młoda dziewczyna przy kołowrotku i przędła cienkie niteczki.

Robota szła żwawo. Przędza snuła się w delikatne nici, a ojciec dziewczęcia, zadumawszy się głęboko, wpatrzył się w robotę córki i westchnął ciężko.

— Czemu się tak we mnie wpatrujesz? — spytała Jenny*.

*) Czyt. Dieni.

— Nie zważaj na to dziewczyno, — odrzekł tkacz – nie zważaj, przędź bo brakło nam nici na zamianę, tkacz we wsi żali się że za mało przędziecie, a przez to robota idzie powoli.

— Ależ kochany ojcze – odpowie Jenny – prędzej już robić nie możemy. Kołowrotki nasze uwijają się chyżo, my prawie nie ustajemy, czyż podobna więcej na dzień uprząść?

— Otóż nad tem myślę, — szepnął do siebie cichym głosem tkacz i dalej dumał, zmarszczywszy czoło.

Jenny przędzie dalej, wesoła piosenka płynie z ust dziewczęcia, koło obraca się i nić się nawija, a tkacz duma, duma.

Wreszcie zrywa się szybko. Skoczy do córki, całuje ją w czoło chwyta kapelusz i wybiega spiesznie.

— Co się też ojcu stało?.. — mówi do siebie Jenny — jakiś zamyślony, zadumany, nie rozumiem co w tem za przyczyna.

Gdy tak dziewczę o ojcu myśli, stary tkacz spieszy ulicami miasta do sklepu zegarmistrza znajomego.

— Dobry wieczór! – rzecze Tomasz — połóżcie przyjacielu robotę na chwilę, chcę z wami o ważnej rzeczy rozmówić się, przyszło mi na myśl, ażeby w podobny sposób, jak wy robicie zegarki, zrobić przyrząd do przędzenia, a wtedy tkacka robota szłaby prędzej. Cóż? jak się wam zdaje?

Zegarmistrz zamyślił się, wreszcie odpowie:

– Ha! Tak odrazu powiedzieć nie mogę. Kto wie? Zastanowić się trzeba długo i uważnie.

Siedli więc obaj i długo, długo o tem radzili, a nazajutrz, nic nie mówiąc nikomu zabrali się obaj do pracy w mieszkaniu Tomasza. Chcą próbować stworzyć maszynę do przędzenia, ale radziby byli tak to uczynić, ażeby sąsiedzi się o tem nie dowiedzieli. Bo tych, coby radzi wyśmiać daleko jest więcej od tych, coby pomódz chcieli.

— Nic nie mówmy nikomu — radzi Tomasz, próbujmy, jakie to dobre, jak się nie uda to nikt nie będzie się z nas wyśmiewać

I szła praca cicha, wytrwała dalej a była mozolna i nudna praca. Czasem nad jednem kółkiem, albo nad jedną sprężyną trzeba było parę godzin, albo parę dni przesiedzieć. Czasem już, już zdawało się, że są na ukończeniu, a tymczasem okazała się nowa jakaś wada i znowu od początku potrzebowali zaczynać. Ludzie, jak zwykle ciekawi zauważyli, iż zegarmistrz z Tomaszem razem siedzą, zaczęło ich to zastanawiać. Siłacz i zegarmistrz razem, coś to jest — trzebaby się dowiedzieć. Zaczynają przychodzić, badać, wypytywać, ale Tomasz milczy i nie wygada się, lecz zegarmistrz słówko po słówku rozgadał o czem myślą razem.

W mieście zakipiało od plotek. Jedni do drugich biegali z nowiną.

— Wiecie co? Tomasz z zegarmistrzem wynaleźli maszynę do przędzenia. — Już teraz dla nas tkaczów otwiera się nowy zarobek, już nam przędzy nie braknie.

– Wiecie co? maszynę do przędzenia chcą zrobić, kobietom odbiorą robotę — narzekają inni.

Jedni się cieszą, drudzy się wynalazku boją, lecz gdy parę tygodni minęło, a o maszynie nic jeszcze nie słychać, dalejże żartować i wyśmiewać się z biedaków:

— Waryaty!... Chcieli bardzo mądrych udawać! Półgłówki!... Im tak do maszyny, jak nam do filozofii. Gdzie taki tam tkacz nieubogi może maszynę wynaleźć. Waryaty!..

— A co tam ojciec? – drwiąco pytają Jenny. — Na wielu wrzecionach maszyna będzie przędła?

— A jak tam z maszyną? — drwią znowu. – Nie tacy mędrcy do tej pory żyli, a maszyny do przędzenia nie wynaleźli, dopiero Tomasz i zegarmistrz chcieli świat zadziwić!...

Biedna Jenny cierpiała wiele. I ona obawiała się, iż plany i nadzieje ojca pójdą na marne, widziała dobrze, iż w dom zaczyna wciskać się nędza, robota ustała, ojciec rozgorączkowany i mizerny pracuje nad siły,

a tu jeszcze ludzie śmieją się i wydrwiwają:

— Biedna ty, biedna, ojciec twój rozum stracił — mówią koleżanki.

Lecz na to Jenny woła:

— Ojciec mój nie oszalał, lecz ojciec pracuje nad dobrem waszem, waszych dzieci, a wy nie umiecie tego uszanować.

— Już chyba i ty zmysły straciłaś, gdy tak mówisz, na nędzę zejdziecie i będzie koniec wynalazku.

— Dlaczego jesteście tak nielitościwi i drwicie z pracy ojca mego — z płaczem rzecze Jenny. — Jeśłi i nędza do nas przyjdzie, to nie z pijaństwa i z próżniactwa, to nam hańby nie przyniesie...

Lecz ludzie drwili i wyszydzali i ojca i córkę. A w chacie Tomasza coraz ciszej i smutniej było.

Biedna Jenny dniami i nocami siadywała przy kołowrotku, aby na życie zarobić, z trwogą na ojca patrzyła i starała się być mu pomocą i otuchą.

— Wytrwaj, ojcze drogi! wytrwaj! – prosiła go tkliwie. — Bóg ci pomoże i praca nie będzie marna. — Potem ludzie twe imię będą cenić i będziesz dla nich dobrodziejem.

Czasem ojciec stawał zamyślony nad kołowrotkiem wpatrywał się w ruch koła, rachował, obliczał i znów do pracy wracał.

– Powinnaś ojcu zabronić tego marnotrawstwa czasu — mówili ludzie. — Nic nie robi, a ty się zapracujesz.

— O, nie! — odrzecze Jenny — ja ojcu powinnam dodawać otuchy i zachęty, ja go powinnam nadzieją pokrzepiać.

Długo trwała praca Tomasza i długo Jenny męczyła się, ażeby zarobić na życie, aż wreszcie dziewczę poczęło zapadać na zdrowiu, siły wyczerpały się.

— Powiedz ojcu, iż giniesz z głodu i wyczerpania, niech rzuci maszynę i weźmie się do pracy!

— Nie powiem tego. Ojciec dla dobra tysięcy ludzi pracuje, więc ja nie powinnam go wstrzymywać, ani zniechęcać.

— Cóż ci z tego przyjdzie, iż ojciec maszynę zrobi, a ty stracisz siły i zdrowie?

— Ja mam być ojca w najcięższych chwilach pociechą i pomocą, bo idzie tu o cel wielki.

Zdarzyło się właśnie tak dziwnie, iż tkaczom zabrakło przędzy do roboty. Zaczęła im dokuczać bieda. Chodzili źli i gniewni, aż raz zebrawszy się gromadą, wpadli do izdebki Tomasza, porąbali jego maszynę, podruzgotali koła i narzędzia, przeklinali i złorzeczyli strasznie.

— Gdzie wynalazek twój? Obiecałeś przędzalnię, a my nie mamy roboty, tkalnie stoją, gdzie twoja maszyna?

— Jak nie umiesz zrobić przędzalni, to nas nie zwodź nadzieją... my biedni jesteśmy, my chleba nie mamy... precz z twoją maszyną!...

Jak straszna piorunowa burza przeszli tkacze przez izdebkę Tomasza. Porąbali koła, szprychy, połamali narzędzia, wyrzucili wszystko przez okno i poszli dalej pijani, gniewni, podobniejsi do dzikich zwierząt jak do ludzi.

Biedny Tomasz i jego córka Jenny.

Tłumy poszły ryczące złością, a oni biedni zostali przed progiem chaty złamani bólem i cerpieniem.

— Za co ci ludzie na ciebie ojcze gniewają się? — pyta dziewczę przez łzy. — Czyś ty od nich żądał pomocy w pracy?...

— Cicho! nic nie mów... Ja mam nową myśl, ja teraz lepszą, inną maszynę zrobię...

Pociesza Tomasz córkę i opiera się drżący o jej ramię, aż tu z kąta jakaś zgarbiona, skulona postać wymyka się i ucieka co tchu do miasta.

To zegarmistrz ucieka od Tomasza i woła:

— Dziękuję ci! dziękuję! Obiecywałeś mi wiele, teraz ludzie ze mnie waryata zrobili, dobrze, że mi nóg nie połamali. Dziękuję. Już nie chcę twojej maszyny!

Został już teraz biedny Tomasz z córką.

Opuścili go wszyscy, wszyscy wyśmieli, wszyscy przeklęli, tylko biedna Jenny została przy ojcu, prowadzi go do izby, pociesza i uspokaja.

— Nie martw się ojcze! Nie zważaj na ludzkie mowy. Pracuj dalej, ja ci będę pomagała... Jeszcze kiedyś twe imię ludzie będą błogosławili.

I poszło dziewczę, pozbierało szczątki połamanej maszyny, przyniosło do izdebki, złożyło na stole.

Tomaszowi łzy ciche toczą się po licu.

— Jenny! Czem ty jesteś dla mnie!

Przeszło czasu wiele.

W mieście wszyscy nazywali Tomasza waryatem, wyśmiewali się z Jenny, iż pomaga ojcu w wynalezieniu maszyny i z głodu razem oboje giną, ale to nie wstrzymało Tomasza w pracy.

Uciekł zegarmistrz i nie chciał znać „waryata“, Tomasz sam dalej pracował.

Po kilku miesiącach przechodziło kilku tkaczy obok izdebki Tomasza, słyszą, jakiś dziwny turkot.

Jeden rzecze: — Chodź! Obaczymy, co ten waryat robi!

Wchodzą i stanęli jak skamieniali.

— Co to znaczy?

— To maszyna, która na dziesięciu wrzecionach przędzie odrazu — rzecze Tomasz. — Przyjdźcie i popatrzcie co się dzieje, chociaż się ze mnie wyśmiewacie, ja się nie gniewam, przypatrzcie się!

Nie macie przędzy do tkania, oto wam dam, patrzcie wiele jest przędzy.

Rozeszła się wieść szybko. Ludzie zbiegają się i patrzą, maszyna przędzie. Ale o dziwo! W dwa tygodnie później już nie dziesięć wrzecion ale sto zwijało nici uprzędzone i tkacze nie mogli nastarczyć tkaniny.

— To „Jenny“ — rzecze Tomasz, pokazując na maszynę. — Dałem tej maszynie imię mojej córki, bo tylko ona mi dopomogła do wykończenia wynalazku. Odstąpili mnie wszyscy, ona mi była pociechą i pomocą...

W rok później jeszcze lepszą maszynę Tomasz wynalazł, nie sto wrzecion ale kilkaset przędło nici, tkacze błogosławili Tomasza i dostatek zaczął się wzmagać.

Niepoczciwy zegarmistrz założył fabrykę przędzalni i powiedział, iż to on nie Tomasz był wynalazcą.

Tomasz zniósł tę krzywdę cicho, nie długo już cieszył się wynalazkiem, lecz do dziś przędzalnie „Jenny“ przypominają pamięć dobrej córki tkacza, która biednemu ojcu prawdziwą pomocnicą była.

Jadwiga.

(Rok 1704 25 marca.)

Przysięga.

Na krakowskim rynku,
Wszystkie dzwony biją.
Cisną się mieszczany,
Z wyciągniętą szyją.

Na krakowskim rynku,
Tam ludu gromada,
Tadeusz Kościuszko
Dziś przysięgę składa.

Zagrzmiały okrzyki,
Jak tysiączne działa...
Swego bohatera
Polska wita cała!

Wyszedł pan Kościuszko,
W krakowskiej sukmanie,
Odkrył jasne czoło,
Na to powitanie.

Odkrył jasne czoło,
Klęknął na kolana:
— Slubuję ci życie,
Ojczyzno kochana!

Ślubuję ci życie,
Ślubuję ci duszę,
Za Bożą pomocą,
Wolność wrócić muszę!

Nie stoję tu w srebrze,
Nie stoję tu w złocie,
Lecz w pogardzie śmierci,
W staropolskiej cnocie! —

A mówił te słowa
W tak ogromnej ciszy,
Zdało się, że Pan Bóg
Tę przysięgę słyszy!

Zapłakał, zaszlochał
Naród dookoła...
Wstał Kościuszko, wstrząsnął
Krakuskę u czoła.

Zabłysła mu w ręku
Szabla poświęcona:
— Niech żyje — zawołał —
Litwa i Korona! —

I wzniósł ją oburącz
W to jasne zaranie:
— Ogłaszam przed niebem,
Narodu powstanie! —

A głosy buchnęły,
Wskróś rynku i grodu:
— Niech żyje Kościuszko,
Naczelnik narodu! —

Ej, byłaż to chwila
I święta i boża...
Cała Polska drgnęła,
Od morza — do morza!

Uczmy dzieci nasze „kochać bliźniego, jak siebie samego“.

„Idź, idź, ja chcę jechać, muszę jechać“ — woła mały Oleś i spycha starszego o rok braciszka z konika na biegunach. Starszy Kazik broni się jak może, z całej siły obejmuje rączynami za szyję drewnianego rumaka, a wywijając nogami, nie dopuszcza Olesia. Na krzyk chłopców, zrywa się od pracy ojciec i bez namysłu zsadził Kazia z konika i poczęstował go przytem kułakiem „ustąp boś starszy“ — wołając.

Kazik poszedł z płaczem w kąt, Olek z miną zwycięzcy wgramolił się na konia. Chwilę panował spokój. Na raz weszła do pokoju młodsza od Olesia Mania, trzymając w ręce śliczne, czerwone jabłuszko, oczka jej śmiały się z radości, biegła, aby pokazać braciszkom swój skarb.

Obaj rzucili się na biedaczkę, każdy chciał dla siebie zdobyć jabłuszko Mani. I znowu ojciec zakończył wojnę, dając jabłuszko Olesiowi, Mania jako młodsza musiała ustąpić.— Oleś porzucił konika, zabrał się do chrupania jabłuszka, złośliwie i chytrze przedrzeźniając się rodzeństwu płaczącemu z powodu wyrządzonej krzywdy. Takie sceny powtarzały się co dnia, co mówię, kilka razy na dzień, a zawsze Oleś był zwycięzcą, młodsi ustępowali mu bo był starszym, starsi — bo mając więcej rozumu, młodszemu ustąpić powinni! Jak sądzicie Szanowne Matki, czy Oleś wyrósł na dobrego chłopca? Czy w sercach Kazia i Mani krzewiły się dobre uczucia miłości rodzinnej, poczucia sprawiedliwości? Wiem odpowiecie: „Nie“. Dzieci te, ofiary nietaktu i nierozwagi ojca nie mogły wyróść na zacnych ludzi“. Olek — to niezrównany samolub, któremu się zdaje, że cały świat istnieje dla niego, a w sercu tamtych kryje się zazdrość, zawiść, żal do ojca i zupełne lekceważenie uczuć rodzinnych, bo w rodzinie doznali tylko przykrości. Nad sercem dziecka trzeba czuwać! Samolub, to ten, kto o sobie tylko myśli, siebie nadewszystko kocha, miłość własna rozwija się w jego sercu tak, że przytłumiła wszelkie inne uczucia. Czy ją należy całkiem wykorzeniać, całkiem niszczyć, jak chwast szkodliwy? Wcale nie, Chrystus sam przecież powiedział: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“, przykazaniem tem uznał miłość własną i ponad nią nie żądał dla bliźnich nic więcej. Miłość własna wynika z natury człowieka, maleńkie dziecko, zanim zacznie mówić o sobie „ja“ od pierwszej chwili stara się, aby mu było dobrze, krzykiem i płaczem domaga się pożywienia

i wszelkich potrzebnych mu wygód; natura stara się ochronić młode życie, walczy o swój byt. Co dziecko czyni nieświadomie to człowiek dorosły wypełnia z całą, pełną świadomością celu. I on walczy z przeciwnościami, aby utrzymać swój byt, swoje ja. Do walki popycha go i zachęca: miłość własna. Ona każe mu zdobywać stanowisko szukać sławy, a przynajmniej starać się o dobre imię, ochraniać zdrowie, dbać o zbawienie duszy. Gdyby człowiek nie kochał siebie, nie czyniłby tego wszystkiego, nie dbałby o duszę swą, ani o ciało, jako o sprawy i rzeczy nic dla niego nieznaczące. Nie można więc tępić zupełnie miłości własnej. Słusznie powiedział znakomity pisarz Prus, że jest ona jak „płotek koło gruszy okrytej owocem". Przezorny gospodarz nie zrzuci płotu, a przezorny wychowawca nie wytępi miłości własnej, tylko nie pozwoli, aby się w jego sercu rozrosła ponad wszystkie uczucia i uczyniła je samolubem niekochającym nikogo i niekochanym przez nikogo. Chrześciańskie przykazanie miłości Boga nadewszystko, a bliźniego swego, jak siebie samego powinno być podstawą kształcenia uczuć, czyli serca dzieci naszych. Niech od pierwszych chwil życia uczą się poznawać Boga, jako najlepszego Ojca w cudownych dziełach przyrody, niech uczą chwalić Go modlitwą, zrozumiałą dla młodocianego umysłu, a nadewszystko czynić zgodnymi z Jego wolą. Wola Jego nakazuje kochać bliźniego.

Niechże więc dziecko uczy się też miłości bliźniego, niech ustąpi rodzeństwu młodszemu, czy starszemu, ale nie zawsze, niech innym razem ustąpią jemu, ustępstwo niech nie będzie wymuszone klapsem, ale dobrowolne, namówmy, pochwalmy dziecko jeżeli ustąpiło, niech dozna miłego uczucia zadowolenia, a chętnie powtarzać to będzie. Nie pozwólmy dziecku by dręczyło matkę albo sługę grymasami, nie dogadzajmy mu zbytnio, nie znośmy, by biło, drapało rodzeństwo, by zawsze pierwsze u stołu dostawało najlepsze kęski. Łagodnie i serdecznie uczmy je znajdować przyjemność w ustąpieniu przysmaku, zabawki, lepszego miejsca komuś drugiemu, uczmy szukać zadowolenia w sprawianiu przyjemności drugim. Nie gwałt i przymus, ale przykład i miłość ma tu być środkiem kształcenia. Jeżeli dziecko widzi, że matka ojcu, ojciec matce chętnie ustępuje, że troszczą się wzajemnie o przyjenności i wygody jedno dla drugiego, będzie z pewnością rodziców naśladowało. Za ich przykładem poczuje się członkiem rodziny, dla dobra rodziców i rodzeństwa, których kocha i wzajemnie od nich czuje się kochanem, potrafi wyrzec się głośnej zabawy, czy przechadzki, czy innej jakiej przyjemności, dla nich potrafi znieść trud i przykrość, a nagrodą mu będzie przyjemność sprawiona ukochanym ich, ich zadowolenie.

Uczmy dziecko nasze sercem wybiegać i poza rodzinę, uczmy, aby się poczuło dzieckiem ziemi polskiej, członkiem społeczeństwa i narodu, aby umiało dojrzeć cierpienie, nędzę i ból cudzy, a w niesieniu pomocy i ulgi szukało zadowolenia. W tym celu niechże dziecko nigdy nie widzi, że rodzice i wychowawcy kimś pogardzają, że odsuwają się od potrzebującego pomocy, że unikają ludzi smutnych i nieszczęśliwych. Owszem uczmy je „płakać z płaczącymi, a cieszyć się z cieszącymi się", uczmy je nieść jałmużnę nietylko grosza, ale i jałmużnę serca i myśli, budźmy w jego sercu współczucie dla nieszczęśliwych, dla pracujących ciężko, dla ubogich i chorych. Niech dziecko pomoże w robocie słudze, czy najemnikowi, niech pocieszy zmartwionego kolegę, starsze niech służy choremu, niech czuwa chociażby jakąś godzinkę przeznaczoną zwykle na spoczynek. Trzeba tu jednak zachować miarę i rozstropność, nie narażać zdrowia dziecka przeciążeniem, lub zbliżeniem do cierpiącego na chorobę zaraźliwą. Nie trzeba nigdy żądać od dziecka poświęcenia nad siły, ani nie trzeba ciągłem uka-

zywaniem nieszczęścia i cierpienia zatruwać niewinnej wesołości.

Przykładem, uczynności, uprzejmości, współczucia uczmy dziecko czynnej miłości bliźniego, miłości rodzinnej. Kochająca się zgodna rodzina, to najlepsza szkoła miłości bliźnich według nauki Chrystusowej. W rodzinie, przy boku matki, szlachetne uczucie budzi się wzrasta, jej tchnienie, jej przykład j jej słowo ma też w serce dziecka rzucać piewsze ziarna wielkiego uczucia miłości Ojczyzny, o czem w następnej pogadance pomówimy obszerniej.

P. S.

(Rok 1794 4 kwietnia.)

Racławice.

W Racławickiem polu,
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnem słonku
Kosynierskie kosy.

Migają się kosy,
Nikt nie liczy wroga,
— Choć go będzie sto tysięcy,
Pójdziem w imię Boga!

Święconą szablicą
Pan Kościuszko skinął,
Jako orzeł w dwoje skrzydeł,
Wojsko swe rozwinął.

Na tem jednem skrzydle,
Parskają koniki,
Tam generał Madaliński
Sprawuje swe szyki.

Na tem drugiem skrzydle,
Pan Zajączek stoi.
Tam się błyszczą chorągiewki
Miga słonko w zbroi.

Runęli na Moskwę,
Jak burzy nawała,
Odparły ich kartaczami
Te moskiewskie działa.

Runęli na Moskwę,
Jeden raz i drugi,
Nakryło się pole trupem,
Krwi spłynęły strugi.

Widzi pan Kościuszko
Te nieszczęsne boje,
Tak zakrzyknie: — Dalej za mną,
Kosyniery moje! —

I z pośrodka skrzydeł
Jak orzeł się wzbija,
A lud za nim z wielkim krzykiem
— Jezus i Marya! —

Pędzi pan Kościuszko
Za nim wiara cała
Nakryły ich ogniem, dymem,
Te grające działa.

Aż wódz z dymów krzyknie,
— Ejże moje chwaty!
Który tam z was gardziel zatka
Moskiewskiej harmaty?

Wnet skoczy na wały
Zuch Bartosz Głowacki,
Gołą ręką brać te działa,
A z nim Stach Świstacki.

Przelękła się Moskwa
Tak wielkiego męstwa,
Otrębuje odwrót sobie,
A nam pieśń zwycięstwa!

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Pogadanka o porządkach przedświątecznych. Pamiętajmy i myślmy często o tem: że na nic wszystkie pieczywa i przysmaki świąteczne — na nic cała ozdoba stołu, jeśli w całym domu niema porządku — jeśli w każdym kąciku domu i obejścia nie jest posprzątane — poskładane i powymiatane, jak potrzeba. Niema wtedy gospodyni tego wewnętrznego zado-

wolenia, że jej dom cały zewnątrz i wewnątrz jest jak pudełeczko czysty, jasny i gdziekolwiek okiem rzuci — wszędzie znać jej rękę, pracę i staranie. — Nim się rozpocznie w domu pieczenie ciast i mięsiwa — powinno się naprzód w tym domu zrobić ład i porządek. Chociaż w dobrze prowadzonym domu nigdy do wielkiego nieporządku dojść nie powinno — jest jednak już we zwyczaju, że główne porządki robią się w domu raz na wiosnę, przed świętami, a drugi raz w jesieni, aby zimę spokojnie przebyć można. Zacznijmy od strychu! Powinnaś pójść gospodyni młoda w ciepły dzionek wiosenny na strych — rozpatrzyć się po nim — coby trzeba złożyć – poskładać — pochować. Jeśli są na strychu kufry z pościelą — powyjmować z nich wszystko. Kazać potrzepać, a potem poskładać wszystko nanowo.

Gdy są futra do schronienia, to te potrzepać starannie — a składając , przełożyć je drobno pokłótemi, smolnemi szczypkami — w lniane prześcieradła, albo płachty i tak pokłaść w kufrze. Trzeba jednak kiedyś później -- najlepie w sierpniu — znowu przetrzepać i tak samo szczelnie lnianemi płachtami i szczypami zaopatrzyć. Co niepotrzebne — różne stare graty powyrzucać — szmaty popalić a gdy już wszystko ładnie ułożone — skropić strych dobrze wodą i zamieść starannie. — Po jakiej godzince, dobrze sznury na bieliznę czystą ścierką pościerać, bo przy porządkowaniu kurz na nich osiada. I już jedna robota skończona.

A teraz chodźmy do piwnicy. Tu trzeba poomiatać ściany z pajęczyny — poszorować ławki i półki — jarzyny, jakie są przebrać – zgniłe i nadpsute wynieść — kartofle porozsypywane po całej piwnicy pozbierać w kupki: najładniejsze do jedzenia osobno — drobne dla trzody — a nasienne — (o ile nie są jeszcze w kopcach) znowu osobno. Beczki z kapustą obejrzeć – czy niema pleśni — pomyć czysto kręgi i pamiętać o niej teraz -- bo już będzie coraz cieplej, a kapusta nie dopilnowana łatwo się psuć będzie. W piwnicy powinna być zawsze powieszona na gwoździu ścierka do ścierania ławek i półek — szczególniej w takiej piwnicy, gdzie się trzyma mleko — codziennie trzeba po uporządkowaniu nabiału pościerać, gdzie porozlewane, aby nie pleśniały ławki. Także powinna być w kąciku miotła do zamiatania piwnicy, wtedy nigdy nie będzie pleśni po kątach podłogi, czy ziemi – co się bardzo do czystości powietrza w piwnicy przyczyni.

A teraz zabierajmy się do spiżarni. I tu jest po zimowem zaniedbaniu dość roboty! Ściany poomiatać — półki, drzwi i okienko umyć czysto – jak również podłogę, (a wszystko gorącym ługiem) poukładać słoje, garnki i puszki porządnie -- stół czysto wymyty niech czeka na różne dobre rzeczy, które się na nim składać będzie tymczasem, nim na stół ozdobny pójdą.

Dalej zabrać się do czyszczenia pokoi. Jeśli pokoje, czy izby bielone już są brudne, to trzeba je bielić – a więc i rzeczy wszystkie z nich wynosić – jeśri jednak jeszcze są białe, a tylko zakurzone, to i tak trzeba wszystko powynosić na dwór i gdy są już pokoje zupełnie puste -- wziąć szczotkę do zamiatania — (taką na drążku) owinąć ją czystą, lnianą szmatą i raz koło razu omiatać ściany i sufity — dobrze przyciskając. Szmatkę często zdejmować ze szczotki i trzepać na dworze. Gdy ściany omiecione — poczekać trochę, aż się kurz usiądzie i zabrać się do mycia drzwi, okien, a w końcu podłogi. Ale przedtem jeszcze pościerać wilgotną ścierką kurz z pieców góry i boków starannie, aby nic na nich, ani za nimi nie było — (gdy piece brudne — co prawie zawsze bywa, bo się przez zimę zasmaruje i drzewem poobija) trzeba je przed myciem podłóg obielić czysto. Podłogę wyszorować ługiem i piaskiem — a gdy już podłoga wyschnie, wtedy albo już taka zostaje, albo się zapuszcza farbą, ale to już zależy od tego

jaki gdzie zwyczaj panuje. Sienniki na dworze wypróżnić ze słomy – potrzepać doskonale — a gdy brudne to i wyprać — nałożyć świeżą słomą — łóżka powycierać — jeśli są politurowane, a zniszczone, odnowić brunoliną (można ją dostać w korzennym sklepie, jasną, lub ciemną) albo wycierać pokostem, gdy są lakierowane – pościel potrzepać – firanki jeśli są — wyprać czysto wyprasować i zawiesić nad oknami Kwiaty wynieść jeśli piepła pogoda na dwór, a gdy słota i zimno, to do kuchni — ustawić je w balii do prania i zlać dobrze sitkiem wystałą wodą. albo rozpuszczoną z trochą ciepłej — potem wazoniki poobcierać i poustawiać odświeżone roślinki na oknach wymytych ładnie. (Szyby doskonale myją się tartą kredą, rozmieszaną z wodą na papkę. Natrzeć nią szybę całą, a potem miękką ściereczką wycierać do czysta; i sucha). Dalej każdy obraz wytrzeć i szybę nim umyć — każdy drobiazg mieć w ręku i oczyścić i starać się, aby ustawiać i układać wszystko aby nie było w pokoju zagracenia — aby niczego nie zapychać za piec, albo na piec, lub pod łóżka, albo na szafy — mianowicie pudełka z kapeluszami lub rzeczami — bo to i nie ładnie wygląda i zagraca, niepozwalając oczyścić, ani zetrzeć prochów z góry – a już pod łóżkami nie powinno nic stać, bo tam codziennie musi być starannie wymiecione i wytarte, tak jak zresztą w każdym kącie pokoju. Tak uprzątnąwszy pokoje idźmy do kuchni.

Kuchnię to już trzeba koniecznie wybielić — piec i zapiecki powymiatać wilgotną szmatą — naczynie wszystko ślicznie pomyć poszorować i poczyścić — poukładać na półeczkach i w szafkach. Łóżko służąca niech starannie wymyje — da świeżą słomę do siennika i popierze wszystko co jest na łóżku stosownego do prania. Okno i drzwi umyć – jakoteż podłogę. Gdy już w kuchni czysto — pozostaje nam tylko sień i ganek. I tu także szczotka i miotła mają co do roboty! Ściany poomiatać, a gdy trzeba pobielić — rupiecie niepotrzebne poskładać — a gdzie niema podłogi, to ziemię czyściutko powymiatać w każdym kącie — skropiwszy naprzód dobrze wodą. Na ganeczku pomyć ławeczki i podłogę i schodki — podwórko zagrabić i pozamiatać, a dom jeśli bardzo deszczami i słotą obity pobielić na zewnątrz, aby świecił zdaleka białemi, jasnemi ścianami. – W końcu każe staranna gospodyni wszystkie naczynia drewniane n. p. niecki, dzieżki, maślnice, cebrzyczki, balie, skopki, konewki poszorować ługiem, aby jaśniały czystością. – Nie mówię już o stolnicy, wałkach i sitach — bo to już zawsze powinno być jak słońce. Pamiętać o ściereczkach do naczynia, prochów i lamp – czy ich jest dość do naczynia grubszych i cieńszych. Jak niema, to kupić, aby były koniecznie w domu. To najważniejsze niż stroik lub przysmak, bo to rzecz niezbędna. Strasznie jest w domu takim, gdzie obciera się naczynie czem się da i co w ręce wpadnie. U porządnej gospodyni ściereczki są czyste i ładne; jedna do szklanek i talerzy – cieńsza, a druga grubsza do większego naczynia. Myjaczek także powinien być czysty i udarty z czegoś stosownego n. p. ze starego maglownika, albo obrusa, a nigdy z bielizny z łóżek albo osobistej! Oprócz tego powinien być zawsze w kuchni ręcznik gruby — aby służąca miała się czem obetrzeć po rannem myciu — lub po myciu rąk przed mieszeniem ciasta — bo gdzie się tego nie przestrzega, a sługa niesumienna, to się obetrze ścierką od naczynia, a to przecież jest okropne!

Tak zrobiwszy ład zewnątrz i wewnątrz mieszkania, trzeba jeszcze przed świętami zrobić duże pranie. — Powypierać co się da – pomaglować i poprasować — poskładać w każdej szufladzie i w każdem pudełku — aby wszędzie panował porządek. Gdy to wszystko już porobione — co najmniej tydzień przed świętami – trzeba zaczynać myśleć o pieczywie świątecznem. Kupić w tym celu mąki ile komu po-

trzeba — wysypać w jakie przestronne naczynie — niecki albo cebrzyczek lub dzieżę aby schła w ciepłem ale nie gorącem miejscu i ogrzała się co do dobrego udania się ciasta jest koniecznie potrzebnem. Obliczyć i spisać wszystko, co koniecznie potrzebne w domu by można wcześnie kupić i pomału, bez hałasu i gwałtu wszystko zrobić. Gdy się robotę na ostatni czas odłoży, to nigdy nie można zrobić dobrze, ani dokładnie, bo się człowiek spieszy i już nic ma czasu myśleć o tem, jak się co zrobi — ale żeby się choć jako tako na czas zrobiło.

Obliczając sprawunki świąteczne trzeba myśleć nietylko o tem co trzeba kupić ale także i to najważniejsze: co można kupić. Wierzcie mi czytelniczki miłe — że łatwiej się jest wyrzec jakiegoś zbytku w stroju, jadle lub napoju — o wiele tu już jest łatwiejszą ofiara — jak późniejsza troska i wyrzuty sumienia: „po co ja to wszystko robiłam! Byłoby się obeszło, a tak — dług ciąży mi i nie wiem skąd wziąć na zapłacenie jego — a tu dziesięć innych wydatków czeka już na mnie!

Na tem kończę poradę co do porządków świątecznych i pogadankę na temat świątecznych wydatków — a postaram się podać naszym czytelniczkom kilka pewnych skromnych i dobrych przepisów — może się one komu zdadzą przed świętami.

Dobry sposób przyrządzania cielęciny na zimno. Ładną ćwiartkę świeżej cielęciny — opłukać czysto — położyć na stolniczkę i wyjąć z niej ostrożnie wszystkie kości — odjąć kość do kolanka — mięso rozłożone pobić dobrze — ułożyć z niego o ile można równy placek, posolić dobrze nałożyć wzdłuż jednego boku 5 albo 6 jaj ugotowanych na twardo i obranych ze skorupki — zwinąć ciasno ile można — związać po obu końcach mocną nitką, a potem cały wałek mocno nicią obsznurować — ułożyć w obszerny baniak, aby woda zupełnie pokryła mięso — (nalewać zimną wodą) i postawić niech się gotuje. Dodać zadróbki, włoszczyny t. j. pietruszki dość, marchwi, cebuli — selera kawałek — pół bobkowego listka, dwa ziarnka pieprzu angielskiego — kilka ziarnek prostego i gotować tak wszystko dobrą godzinę. Potem wyjąć mięso — położyć na drewnianej stolniczce — przykryć drugą — na to położyć jakiś ciężarek — i postawić na zimnie w spiżarni. Do wygotowanego smaku dodać soli, włożyć wyjęte z cielęciny kości — i kawałeczek wołowego mięsa z kością (ale nie ze szpikiem! i gotować, aby się połowa płynu wygotowała. Odstawić, ubić kilka białek na pianę — wlać w płyn — zamięszać, a gdy się sklaruje, przecedzić i przez czystą ściereczkę, albo serwetkę i ponalewać na trzy głębokie talerze potrochę tego rosołu. Jeden zabarwić czerwoną żelatyną, (dwoma listkami) na czerwono — drugi palonem cukrem na bronzowo — a trzeci niech zostanie taki jak jest i postawić do zastudzenia. Jeżeliby źle zastygało — to i do tych drugich płynów dodać żelatyny po dwa listki ale białe. Gdy zastygnie — położyć cielęcinę na gługi półmisek — naturalnie obrać z nitek, ubrać pietruszką zieloną ładnie, a te galaretki zastygnięte — posiekać na stolniczce i ubrać niemi półmisek układając kupki różnokolorowe: raz czerwoną, raz jasną, raz brązową, przedzielając każdą zieloną pietruszką. Utworzy to ładny wieniec dokoła mięsa — a i na samem mięsie wzdłuż nałożyć galarety i listków, a gdyby były listki żelatyny i główki czerwonej rzodkiewki i białej, można i tem ubrać, a jeszcze ładniej taki półmisek na świątecznym stole wygląda. Jeżeli niema zielonej pietruszki — ani sałaty to można z buraków uszczknąć wyrzutki nowych listków — a i tem można ładnie mięso przyozdobić. Długo w cieple stać taka cielęcina nie może — trzeba ją po święceniu na drugi dzień zacząć podawać, krając cieniutkie plastry i układając z galaretkami ozdobnie na półmisku.

Cielęcina zwykła. Ćwiartkę ładnej cielęciny, uciętej jak szynka bez kolanka, nasolić dobrze, naszpikować cienko krajanym czosnkiem pobić, wałkiem trochę podlać wody, do-

dać kawałek duży masła — i wstawić w rurę albo piec, aby ładnie, powoli piekła, a nie spaliła. Siedzieć musi blizko dwie godziny, a co trochę trzeba ją oblewać masłem i obracać, aby z każdej strony jednakowo się piekła. Gdy tak stygnie — położyć na półmisku i ubrać różami ze strzyżonej białej bibułki — położyć koło niej kilka jaj różnokolorowych, albo ubrać zieleninką jaką, n. p. pękami barwinku w braku czego innego.

Cielęcina marynowana. Trzeba ją marynować na dziesięć dni przed świętami. Ćwiartkę ładną, opłukać czysto i nasolić solą tak przygotowaną: 6 łyżek kopiatych soli, pół łyżeczki sztucznej saletry, parę ziarnek tłuczonego pieprzu jednego i drugiego, listek bobkowy, dwa rąbki czosnku — wymieszać wszystko dobrze i nasolić bardzo dobrze, położyć w misce, przykryć krążkiem, przyłożyć kamieniem, co dnia obracać i ropą utworzoną z soli polewać. Po ośmiu dniach wyjąć z soli, trochę obsuszyć i dać w dym na jeden dzień. Gdy ma być na „święcone" — gotować ją razem z kiełbasami — ostudzoną ubrać strzyżonym papierem i struganym chrzanem.

Różny sposób przyrządzania serów. Na wiosnę, gdy się krowy lepiej doją, jest zwykle w domach więcej sera — a jeśli kto niema krów, to o tej porze łatwiej ser może kupić. Otóż dobry jest taki ser n. p kwartę świeżego, odciśniętego sera — pokruszyć, włożyć do rynki łyżkę masła a gdy się rozpuści (ale jak od przodu piec był równo napalony a gdy się wypali, rozgarnąć i wtedy wyrabiać wyrośnięte ciasto w formy, a najlepiej, w duże baniaki lub wprost na duże blachy aby miało ciasto się gdzie rozrastać w piecu. Czy formy, czy baniaczki, smarować bardzo dobrze masłem i wysypywać bułką tartą, bo gdy się źle wysmaruje, ciasto się przylepi i po upieczeniu nie wyleci z formy, przez co można popsuć zupełnie całą robotę. Także dodaję, że mleko używane do ciasta, nigdy nie powinno być surowe i tylko przygrzane, ale sprażone i do miary wystudzone, bo surowe mleko wytwarza w pieczonem cieście ferment, który robi je w krótkim czasie niesmacznem i kwaskowatem.

Chleb domowy nieparzony. Dziewięć kwart mąki żytnej, suchej, wysiać na stolnicę. Jeśli w zimie, to rozczynić ciasto późno wieczór, jeśli w lecie, to bardzo wcześnie rano. Wsypać trzy kwarty mąki do dzieży i rozczynić ciasto czterema kwartami prażonego i wystudzonego mleka a dwie wody letniej albo całkiem tylko wodę, byle płynu było 4 kwarty, drożdży dodać za cztery centy, rozczynić ciasto dobrze, aby grudek nie było nakryć dzieżę i postawić niech rośnie ciasto. Na drugi dzień rano, albo jeśli rano rozczynione ciasto, to około 2 giej popołudniu. miesić je dodając 6 kwart mąki, pół szklanki soli, garść kminu lub czarnuszki, miesić długo i dobrze, aby ciasto aż trzaskało. Wtedy zagładzić i znowu postawić niech rośnie. Zapalić w piecu zaraz gdy się ciasto tylko trochę ruszy, gdy się wypali, rozgarnąć żar i wtedy wyrabiać bochenki do wysypanych mąką koszyczków, albo misek (bardzo dobrze trzeba wysypać mąką) gdy się ładnie ruszy, wygarnąć piec, wymieść pomiotłem i wsadzać chleb, wyrzucając każdy bochenek na łopatę podsypaną mąką i polewając chleby kipiącym odwarem z czystego siana. Siano to trzeba przedtem nastawić aby było gotowe gdy się będzie chleb wkładał do pieca. W piecu ma chleb siedzieć godzinę całą ale nie więcej gdy się wsadzi, przytkać piec blachą i uważać aby się ładnie zrumienił, gdy się nadto rumieni odsłaniać piec. Uważać żeby szyber był zaraz zatkany, gdy się zaczyna chleb do pieca wsadzać. Po upieczeniu wyjąć chleb, umyć każdy gorący bochenek resztą odwaru z siana i znowu na 5 minut włożyć chleb do pieca. Potem wyjąć, poukładać bochenki na stole, opierając je o ścianę, a gdy wystygną dobrze, podskrobać je nożem z popiołu i zbytniej mąki i schować do użytku.

Tort wydatny a niedrogi. 12 żół-

tek utrzeć w misce z $^{1}/_{2}$ kg. cukru. Trzeć do białości, a potem rozdzielić tę masę na trzy równe części do trzech naczyń, t. j. misek. Do jednej części dać 3 tabliczki utartej czekolady, pianę z 4-rech białek i pół szklanki suchej bułki utartej i wysianej aby była miałka. Dla zapachu dodać cytrynowej skórki tarśej. Masę wyłożyć do formy okrągłej, albo tortownicy wysmarowanej bardzo dobrze niesłonem masłem i wysypanej mąką.

Do drugiej części masy, dodać $^{1}/_{4}$-kę migdałów drobno-usiekanych, (oparzonych) łyżkę suchej bułki, kilka gorzkich migdałów dla zapachu (utłuczonych) pianę z 4-rech białek, wymieszać lekko i tak samo wylać do formy drugiej takiej samej wielkości, jak pierwsza i tak samo wysypanej mąką i wysmarowanej masłem.

Do trzeciej masy daje się pianę z 4 rech białek i nic więcej tylko pół szklanki bułki i pomarańczowej skórki dla zapachu. Naturalnie że kto będzie robił ten tort, powinien naprzód przygotować sobie trzy jednakowe formy czy tortownice, odrazu wszystkie wysmarować, mąką wysypać i razem do pieca jeden po drugim te torciki wsadzać pilnując aby piana nie opadła.

Kto niema form odrazu trzech to może sobie robić po jednym torcie a upiekłszy jeden (można i w rurze) robić i drugi, a potem trzeci. Gdy już wszystkie torty gotowe, wystygnięte, posmarować jeden z nich, (czekoladowy) jeden konfiturą marmoladą albo galaretą. Na to położyć drugi (ten z samej bułki) i znowu go posmarować konfiturą i położyć na nim ten migdałowy. Obrównać ładnie i posmarować lukrem, który się tak robi:

Lukier pomadkowy. 25 dkg. cukru porąbać w kawałki, maczać każdy kawałek cukru w wodę i wrzucać do kamiennej ryneczki. Wody więcej nie trzeba, tylko tyle, ile cukier zabierze przy maczaniu. Postawić na kuchnię aby się rozpuścił na syrup, ale pilnować aby nie zakipiało, tylko gdy już rozpuszczony cukier i wygląda jak woda, zdjąć z kuchni, postawić na stole i trzeć wałkiem (od tarcia maku) ciągle, aż się z tego zrobi pomadka biała i tem posmarować tort, ubrać ładnie powierzchu czekoladkami i pomadkami, położyć na podstawce z papieru, obszytej strzyżoną bibułką kolorową i będzie ładny ozdobny tort na stół wielkanocny.

Ubranie skromnego stołu wielkanocnego. Zabierając się do przyrządzania pieczywa i innych rzeczy świątecznych miejmy zawsze w pamięci to: że powinna być popierwsze: „podług stawu grobla", t. j. nie powinniśmy się nad stan i możność wysadzać, a potem, pamiętać i o tem powinniśmy: że sprawiając święta przechowujemy dawne, pradawne zwyczaje i że robimy to więcej dla uczczenia i przechowania tradycyi religijnych, jak dla raczenia się bez miary jedzeniem i napojem.

A jeszcze i o tem pamiętać trzeba, że choć środki nasze są skromne i liczyć się musimy, są na świecie jeszcze mniej mający od nas. O tych to biednych, wydziedziczonych pamiętajmy! Niech i oni mają cokolwiek. Pewnie, że trudno obdzielić wszystkich potrzebujących, ale każdy z nas ma pewnie w stronie w której mieszka, czy to w mieście, miasteczku lub na wsi, pewnie ma i zna kogoś, komu ofiarowana bułeczka, kawałek mięsa, słoniny, kiełbasy i sera, kilka jaj, sprawi radość prawdziwą i rozjaśni choć na chwilę biedne, smutne, i szare życie codzienne. Więc w rubryce wydatków świątecznych zamieśćmy także zapisek „dla biednych" i hojną dłonią i szczerem sercem dzielmy się z nimi. Dajmy staruszcze lub starcowi biednemu potrochę święconego, napieczmy drobnych „paseczek" dla dziatwy biednej na wsi, nafarbujmy jaj do rozdania a będzie w naszej duszy serdeczne zadowolenie, że ile w mocy naszej zrobiliśmy radość biedniejszym od nas.

Chciałabym też młodym gosposiom swojem doświadczeniem poradzić, bo wiem, że są niektóre takie, które mimo najlepszych

chęci nie mogą sobie jakoś dać rady a to dlatego, że nie mają jeszcze wprawy na doświadczenia w uowym dla nich zawodzie: pani i gospodyni domu. Zastrzegam się, że te rady piszę dla osób o skromnych wymaganiach i środkach, bogaci nie potrzebują sobie głowy kłopotać co i jak będzie. Jakoś to u nich łatwo i bez kłopotu się odbywa.

Ale i w skromnych domach panuje wiele radości i zadowolenia, gdy się wszystko uda, gdy się okaże, że i zwyczajom stało się zadość i koniec z końcem udało się związać. Nie mówię już o dumie, młodej gospodyni gdy patrzy na swoje dzieło, na pięknie, czysto i dobrze ubrany i ułożony stół świąteczny.

W tej też chęci bycia pomocną radą kochanym czytelniczkom, napisałam pogadankę o „porządkach domowych" podałam trochę przepisów, a teraz w końcu spróbuję poradzić, jak ubrać stół świąteczny. Stół ustawia się zwykle w pokoju najodpowiedniejszym, a więc albo w bawialnym, albo gdzie jest ciaśniej i niema bawialni, w każdym razie w najlepszym miejscu. Bielizna stołowa powinna być jak słoneczko jasna. Nie idzie tu o to, żeby obrus był bardzo cieniutki i ozdobny. Nawet i gruby, szary, domowej roboty niech będzie, byle był czysty, gładki, wymaglowany i wyprasowany. Na stole poustawiać, co kto ma i może, pod tym względem trudno dawać radę, bo każdy zrobi to na co go stać.

Ale choćby to święcone było najskromniejsze, nikt nie straci na tem, jeśli stół przystroi ładnie zielenią i kwiatami. Choćby mięso było położone na glinianym talerzu czy półmisku, można je ładnie ułożyć, ubrać chrzanem, barwinkiem, lub gałązkami, świerkowemi, można pozakrywać misy z boków strzyżoną bibułką, można ułożyć ładnie pisanki i jaja, a zaraz będzie ładnie i porządnie i apetytnie. Nie zapomnieć postawić na stole soli i pieprzu, octu i oliwy. Wódkę lub wino z flaszką jeśli jest, to trzeba odkorkować, jak również flaszeezki z octem i oliwą. Jaj kilka musi być obranych za skorupki. Choćby były nie wiem jakie przysmaki na stole, nie zapomnieć o bochenka chleba, bo on, ten chleb powszedni najpotrzebniejszy nam i o niego codziennie Boga prosimy. Na tem kończę swoją pogadankę przedświąteczną, zasyłając wszystkim czytającym „Przodownicę" serdeczne życzenia wesołego „Alleluja"!

Jadwiga Szegdziańska.

Ogólne uwagi o pieczeniu ciasta.

Mąka na ciasto drożdżowe powinna być najlepszego gatunku, sucha, t. j. przynajmniej na tydzień przed użyciem wysuszona i przesiana. Dzień przed pieczeniem trze lub tłucze się cukier, migdały parzy, trze lub kraje, rodzynki przebiera, a formy, blachy przygotuje, stosownie do tego, co ma być pieczone. Rzeczą ważną i rozstrzygającą, by się ciasto udało, są drożdże świeże i mleko świeże, nie zbierane, jako też należyte napalenie w piecu.

Palenie w piecu. W piecu pal zaraz po wyrobieniu ciasta, a bierz długie a cienkie polana, żeby cały piec od razu ogrzać. Gdy się wypali, wymieć piec miotłą, żeby ani węgielek nie został. Zasuwkę w piecu zamknij i dopiero po chwili spróbuj ciepłotę tak: rzuć na dno pieca garść pszennej mąki, jeżeli mąka trzeszczy i spali się w jednej chwili, to piec za gorący. Wtedy wytrzej go wilgotną szmatą, nawiniętą na miotłę. Rzuć jeszcze raz garść mąki; gdy mąka się tylko zrumieni, to piec dobry.

Nowszy sposób próbowania pieca jest następujący; Gorącość pieca reguluj podług ciasta, mającego się piec. Ciężkie ciasto n. p. baby, chleb, makownik, placek ze serem, potrzebują gorącego pieca; bułki, kołacze, strucle i mazurki mniej gorącego. Pół arkusza białego papieru włóż do pieca wymiecionego, a gdy papier po 3-eh minutach pożółknie, to piec jest gorący na ciężkie ciasto. Gdy papier pożółknie po 5 minutach to piec jest dobry na lekkie ciasto.

Baby. 2 dkg. szafranu wysusz na ciepłej kuchni, rozetrzyj nożem (na papierze) na proszek, przesiej przez sito i wsyp ten proszek do 1 l. mleka, a niech raz zakipi. Dwa kg. suchej mąki pszennej przesiej do czystych niecek. Rozrób w jednej czwartej litra (szklance) ciepłego mleka 10 dkg. świeżych drożdży i wlewaj potrochę te rozrobione drożdże 1 l. owego ciepłego mleka z szafranem do mąki. Rozcieraj dobrze ten rozczyn dużą łyżką (warzechą), by nigdzie grudek nie było, a po roztarciu przykryj go czystą ściereczką i postaw na ciepłe miejsce, by podrósł. Do wysokiego garnuszka wbij 6 żółtek i wsyp 12 dkg. cukru tłuczonego, potem razem bij do białości. Gdy rozczyn podrośnie, wsyp do niego 2 kg. pszennej mąki przesianej i pół łyżeczki soli, wlej owe ubite żółtka, dodaj ubitą gęstą pianę z 6 białek, wlej jedną czwartą litra (szklankę) sklarowanego masła i miś tak długo, aż ciasto od rąk odstanie, a wtedy wsyp $^1/_4$ kg. przebranych rodzynków. Gdy już ciasto dobrze wymieszone, nakryj i postaw na ciepłe miejsce, by podrosło.

Formy wysmaruj w środku masłem lub świeżym smalcem i wysyp tartą, sianą bułką, a gdy ciasto w nieckach już wyrosło, daj je do formy, ale mniej jak do połowy naczynia. Postaw formy na cieple, by ciasto znowu podrosło i z a r a z z a p a l w p i e c u. Gdy ciasto w formach tak podrosło, że te są prawie pełne, wtedy wstaw do pieca na całą godzinę. Po godzinie wyjm baby z pieca, delikatnie postaw, by nie opadły, i wtedy wyjm z formy, gdy trochę ostygną.

Gdy baby są już zimne, polukruj (nie koniecznie) wierzch baby białym lukrem i posyp maczkiem kolorowym.

Lukier do bab, mazurków i bułek. Przesiej przez sito $^1/_4$ kg. tłuczonego cukru (najlepiej w mączce) wbij 2 białka (uważaj, by żółtka ani odrobinę nie wpuścić, bo się lukier nie utrze) i wciśnij sok z pół cytryny (cytryna nie jest konieczną). Wszystko razem ucieraj łyżką na talerzu lub miseczce w j e d n ą s t r o n ę tak długo, aż masa zbieleje i zaczną robić się bąbelki. Lukier ucieraj ciągle w jedną stronę, a powinien tak zgęstnieć, by łyżką trudno było w nim obrócić. Smaruj nim baby, bułki, placki i mazurki.

Bułki. W 1 l. ciepłego mleka rozrób 10 dkg. świeżych drożdży. 2 kg. mąki pszennej przesiej do czystych niecek i wlewaj potrochę owe mleko, rozrobione z drożdżami. Rozcieraj dobrze dużą łyżką (warzechą), by nigdzie grudek nie było, a po roztarciu przykryj rozczyn czystą ścierką i postaw na cieple, by podrósł. Gdy rozczyn podrośnie, wsyp do niego 2 kg. mąki pszennej przesianej, pół łyżeczki soli i 12 dkg. cukru tłuczonego, wlej $^1/_4$ l. (szklankę) sklarowanego masła, 4 dobrze ubite jaja i miś tak długo, aż ciasto od rąk odstanie. Gdy już ciasto, wymiszone, nakryj je i postaw na ciepłe miejsce, by podrosło. Gdy ciasto podrośnie, rób okrągłe bułki i kładź je na blachy lub gruby papier, posypany mąką; na blasze czy na papierze muszą bułki dobrze podrosnąć.

Z a r a z p o w y r o b i e n i u b u ł e k r o z p a l w p i e c u. Gdy dobrze już bułki podrosły, posmaruj je jajem rozbitem i wsadź na godzinę do gorącego pieca.

Placek ze serem. 3 dkg. drożdży rozrób w $^1/_4$ l. (szklance) ciepłego mleka, wbij do tego mleka jedno całe jajo, wsyp 3 łyżki cukru, szczyptę soli $^1/_2$ kg. mąki pszennej, wlej 4 łyżki roztopionego masła i miś wszystko tak długo, aż ciasto od rąk odstanie. Gdy ciasto zamieszone, postaw je na ciepłe miejsce, by dobrze podrosło. Blachę wysmaruj masłem i posyp tartą sianą bułką. Gdy ciasto wyrosło, rozciągnij je na blachę, posmarowaną masłem i nałóż ser na ciasto.

Ser się tak przyrządza: 1 kg. świeżego, ale bardzo dobrze z serwatki odciśniętego sera, utrzej na tarku i przetrzej przez sito, daj go do donicy (makutry) i trzej wałkiem. Wbij po jednem 4 żółtka, a trzej przytem wałkiem zawsze w jedną stronę. Wsyp szklankę cukru tłuczonego, daj łyżkę masła surowego, świeżego i dobrze utartego, wlej szafranu (1 dkg.), namoczonego w kieliszku

araku i 3 dkg. drożdży, rozrobionych w 2—3 łyżkach mleka. Trzej dalej 15 minut, by się razem wszystko złączyło. Potem dodaj pianę twardo ubitą z 4 białek i $^1/_4$ kg. rodzynków i wszystko razem dobrze łyżką wymieszaj. Ciasto, rozciągnięte na blasze nałóż tak przyprawionym serem i odstaw na ciepłe miejsce, by dobrze podrosło. Zaraz po wyrobieniu placka rozpal w piecu. Gdy placek podrośnie, wstaw go w piec razem z bułkami lub babami, bo potrzebuje on dobrego ognia. By uniknąć zakalcu, nie zapomnij gosposiu do sera dać drożdży, jak podałam.

Mazurek staropolski. W misce utrzej 4 żółtka z 5 dkg. masła i kieliszeczkiem araku. Wsyp do żółtek 4 łyżki cukru tłuczonego, szczyptę soli i $^1/_4$ kg. mąki pszennej i wlej pół szklanki mleka ciepłego, a także 3 dkg. drożdży, rozrobionych w 3 łyżkach mleka. Dodaj także pianę z 4 białek. Wszystko razem ubij dobrze łyżką, a gdy ciasto dostanie pęcherzy, postaw na ciepłe miejsce, by podrosło. Dwa grube duże papiery (wielkości) pół arkusza), lub dwie blachy posmaruj masłem i posyp bułeczką tartą i sianą. Gdy ciasto podrośnie, daj je na posmarowane blachy lub papiery, rozciągnij ciasto p ami do grubości małego palca i postaw na ciepłe miejsce, by ciasto znowu podrosło, Gdy podrośnie, posyp mazurek rodzynkami i migdałami krajanemi wzdłuż (ale migdały pierwej sparz i obierz z łupki i dopiero wtedy pokraj), ale te wepchaj palcem w ciasto, by się ciasta chwyciły. Piecz mazurek w gorącym piecu albo rurze (szabaśniku), a pokraj na kawałki, gdy już będzie zimny.

Gotowanie szynki. Szynkę, ważącą 5 kg. obmywa się w ciepłej wodzie, obcina kolanko, wkłada szynkę w duży baniak, nalewa zimną wodą i gotuje na mocnym ogniu, od zagotowania licząc 2 godziny, ale obraca się szynkę co godzinę. Wyjmuje się szynkę na stolnicę; jeżeli kość dolna oddziela się od mięsa, to znak, że szynka już ugotowana. Po spróbowaniu, jeśli potrzeba, wkłada się szynkę do baniaka i gotuje, albo gdy już ugotowana, zostawia ją w wodzie na 2 – 3 godziny, by ostygła.

Wyjmuje się na półmisek i ściąga skórę, a gdy szynka już całkiem zimna, kraje się ją na plastry.

Placek z serem nie drogi. Kwarta mąki — łyżka masła — dwie łyżki cukru zamiesić to mlekiem, dodać dwa deka drożdży rozpuszczonych, dać szczyptę soli wymiesić dobrze na stolnicy, aby było wolne ciasto i postawić w cieple niech rośnie. — Sera dwie kwarty dobrze wyciśniętego z serwatki, utrzeć na tarku, wbić do niego 6 jaj, dać dobrą łyżkę masła niesłonego dwie, szklanki cukru, kawałek wanilii i skórki tartej z pomarańczy, łyżkę mąki, wymiesić ser ręką w misce dobrze, a gdy ciasto wyrosło, roztaczać placek, ułożyć na wysmarowanej masłem blasze, wyłożyć na to ser wyrównać dobrze — z kawałka ciasta, porobić kraty, posmarować te kraty jajem i brzegi ciasta (sera nie smarować) a gdy wyrośnie na blasze dobrze, wsadzić w piec nie bardzo gorący na pół godziny, albo gdy większy na 3 kwandranse. Można go zrobić z podwójnej masy na dwie blachy.

Placek z powidłem. Zrobić takie samo ciasto, przyrządzić powidło następującym sposobem: Pół kg. dobrych powideł rozrobić z dwoma łyżkami kwaśnej śmietany – dodać cukru aby słodkie były, dać skórki pomarańczowej wbić dwa jaja, rozmieszać dobrze uważać aby nie było jakiej pestki lub węgla (najlepiej przepuścić przez rzadki druszlak) i gdy ciasto wyrośnięte, wyrobić tak jak do sera, posmarawać powidłami, posypać grubym cukrem i siekanymi migdałami i włożyć w piec taki, jak na placek z serem.

Taki sam placek może być z makiem. Mak dwie szklanki sparzyć na parę godzin, odlać starannie, utrzeć w dojnicy, dodać cukru dosyć, 5 migdałów gorzkich dla zapachu (utłuczonych) wbić dwa jaja rozmieszać dobrze i nałożyć na ciasto postępując, jak z tamtem ciastem. Można do

maku dodać rodzynków garść. Po wierzchu posypać grubem cukrem i posypać migdałami oparzonymi i wzdłuż cieniutko krajanymi. Posypywać tak, aby tworzyły kratę.

Dobra i prędka babka. Utrzeć na misce $^1/_4$ kg. masła świeżego, wbić do tego po jednemu 10 żółtek, dodać dwie szklanki cukru, wlać dwie szklanki letniej śmietanki, dodać 8 deka drożdży rozpuszczonych w odrobinie wody, tochę posolić i uiągle dodając potrochę mąki suchej i najpiękniejszej. Mąki dodać tyle, aby ciasto ściśnięte w kułaku tworzyło bułeczkę a nie rozlewało się. Przy końcu dać pianę z ubitych białek i miesić godzinę całą, potem nakładać w babnierki albo formy jakie, ale bardzo dobrze niesłonem masłem wysmarowane i bułeczką wysypane. Postawić ciasto w cieple, gdy się dobrze ruszy w formach, palić suchem drzewem w piecu, po wypaleniu wygarnąć, wymieść i próbować mąką, jeśli tylko żółknie mąka, to czas wsadzać; czynić to ostrożnie, aby ciasto nie spadło. Można zrobić to ciasto z podwójnej ilości wszystkiego, ale nie trzeba nigdy nakładać do bardzo dużych form, lepiej więcej mniejszych bułek porobić. W piecu mają być przeszło 3 kwadranse. Smarować po wierzchu nie trzeba, ale gdy już upieczone, ostrożnie na sito wyrzucone będą. można je za gorąca posmarować lukrem białym lub kolorowym, zafarbowanym alkermesem a jeśli tego niema to burakiem a raczej sokiem z niego i posypać kolorowym maczkiem co bardzo ozdobnie na stole wygląda.

Dla zapachu dać do ciasta tłuczonej wanili.

Paska Święteczna. 10 kwart wysusuzonej mąki najpiękniejszej wysiać na stolnicę (mąka powinna być ciepła. t. j. ugrzana i sucha). Z tej mąki wziąć 3 kwarty, wsypać do niecek rozczynić ją 12-stu deka drożdzy dobrych, rozpuszczonych w mleku z trochą mąki i szczyptą cukru. Gdy drożdże podrosną, wlać je w mąkę w nieckach będącą i rozczynić ciasto dwoma kwartami prażonego i wystudzonego (aby było tylko dobrze letnie) mleka. Rozczynić dobrze aby grudek nie było i postawić niech rośnie. Gdy się dobrze ruszy, miesić rozczynę wsypując do niej potrochę 7 kwart mąki, wlewając 20 jaj ubitych w garnuszku dobrze kłoteczką, dodając 3 szklanki topionego, letniego masła i trzy szklanki tłuczonego cukru, pół gałki muszkatowej tłuczonej, łyżeczkę kopiatą soli, a w końcu pół funta t. j. 25 deka rodzynków sułtańskich, czysto wymytych i przebranych.

Miesić długo i dobrze w ciepłem miejscu, gdyby trzeba było, to dolewać jeszcze do mieszenia mleka letniego, aby ciasto było dość wolne. Wymieszone postawić niech rośnie. Gdy się tylko ciasto ruszy, palić w piecu suchem drzewem, pilnować aby tak w głębi nie zrumieni!) włożyć ser i postawić na kuchnię, aby się rozgotował. Gdy się już rozgotuje i serwatka wygotuje — wbić do tego 3 jaja i zaraz dobrze rozmieszać, aby się jaja nie ścięły, posolić dosyć, dać garstkę kminku — pogotować chwilę jeszcze (ser powinien się tak rozgotować — żeby była jedna masa) wyłożyć salaterkę serwetką czystą i wylać na nią ten ser i postawić, aby wystygł. Gdy już zupełnie zimny, wyłożyć na talerz, zdjąć z niego serwetkę i podać go do śniadania, lub podwieczorku. Doskonały jest z chlebem z masłem. Można taki ser dać do święcenia, bo ładnie wygląda, żółciutki i okrągły.

Ser zgliwiały. Pokruszyć świeży ser do miski i postawić w cieple, aby zgliniał. Przykryć go talerzem i niech stoi ze dwa albo trzy dni w kuchni na stole. Potem, gdy już zgliwieje, włożyć do rynki kawałek masła rozpuścić bez zrumienia, włożyć ser, rozpuścić, starannie mieszając, posolić dobrze, i w rozpuszczony ser wbić ze trzy jaja — rozmieszać prędko, dodać kminku. wymieszać i wylać na salaterkę. Zimny ślicznie się kraje i jest bardzo dobrym dodatkiem w dni postne do podwieczorku i kolacyi.

Drzewa przy drogach.

Na zgromadzeniu delegatów Kółek rolniczych w Jarosławiu,podniósł się głos włościanina przeciw drzewom przy drodze, bo one wyniszczają ziemię i nic się koło drzew nie rodzi. Szczególniej tam, gdzie są brzozy, jasiony, topole i t. p. — I głos ten ma racyę. Ale zapytam się tego gospodarza i jego zwolenników – czy byłoby dobrze, gdyby tych drzew nie było? — Czy drogi nasze w nocy, w śnieżyce, byłyby do oszukania, gdyby nie drzewa — jedyne drogowskazy? Czy jadąc czy idąc w skwarny dzień, nie przyjdzie mu na myśl, jak to dobrze, że on i chudoba choć trochę cienia użyją?Jak wyglądałby nasz kraj, gdyby naraz wszystkie drzewa przy drogach wycięto?

A jednak prawdą jest, że drzewa dzikie zamało pożytku przynoszą. I któż temu winien? Wszyscy winni. Pięknie się mówi na zgromadzeniach o wielu pożytecznych sprawach, handlu, mleczarstwie, składnicach towarów, sadownictwie. Ba! nawet brawo walimy szanownym mowcom. Ale po zgromadzeniu co?

Jużcić nie źle byłoby, gdyby drogi, sady koło chat naszych poobsadzało jakie towatowarzystwo, n. p. Żarząd główny, szczepami. Byłyby owoce, które by nigdy nie dojrzały a nie ma takich funduszów, by można utrzymać wartę przy każdym szczepku i to przez lat parę, by go już potem nikt nie złamał.

Jeden z delegatów opowiadał, że posadził szczepy, ślicznie się rozrosły, miały w ubiegłym roku prześliczne jabłka i gruszki, ale biedak nie wie czy dobre i trwałe, bo łaskawi sąsiedzi zawczasu je oberwali. Teraz ma zamiar wystawić taki płot, poprostu fortecę, żeby się do sadu nawet kot nie dostał!

To nie mój głos, to głos tych, którzy na własnej skórze doznali.

Drzewa owocowe dają krociowe dochody, umilają życie i świadczą o kulturze i oświacie danego kraju.

Cudzoziemiec przejeżdżający przez Galicyę, podziwia nasze wierzby i pyta: Co to za straszydła czy szubienice? A wróciwszy do swoich, naśmiewa się z nas, że to „kraj niedźwiedzi“. Sad przy chacie, to skarb. Daje dochód, daje zdrowe pożywienie, chroni chatę od ognia i wichrów, jest ozdobą wioski. Czy to sprawa kosztowna? Nie Dziesięć szczepków można mieć za 7 koron — sadzenie nic nie kosztuje. Drogi nasze, obsadzone szczepami, przynosiłyby ogromny dochód.

Czy możemy dojść do tego? Tak, przez oświatę i dobrą wolę. Jeżeli sad będzie przy każdej chacie, nie będzie nikt łakomie spoglądał na sad cudzy. Jeżeli matki oddadzą szczepki w opiekę dzieciom, dzieci staną się lepszemi i nauczą się szanować cudzą własność i swoje szanować będą i nabiorą zamiłowania do sadów.

Szczepy przy drogach będziemy sadzić, musi przyjść do tego, a szkodników pozbędziemy się, gdy w pierwszych latach straż ustanowimy, która się opłaci z owoców, a szkodników będziemy karać bez litości.

Musimy się starać, by w każdym powiecie były szkółki drzew i krzewów owocowych. To niekosztowna a bardzo korzystna sprawa, musimy wszystkim ułatwić nabywanie odpowiednich do gleby i klimatu szczepków. Widziałem raz, jak złodziej wykopał szczepek i posadził w swoim ogrodzie. Brzydka to rzecz, boć zawsze ukradł, ale mu nic nie mówiłem, byle sad zaprowadził. Różnie bywało w naszej wiosce, w ubiegłym roku było dużo owoców w moim ogrodzie. Nikt nie pilnował, jak po dawne czasy, nikt szkody nie robił, wszystkie jabłka i gruszki dotrwały do czasu zbioru. A któż to zrobił? Z radością muszę powiedzieć: oświata, Kółko gospodyń wiejskich, młodzież oświecona, która sama dąży do zakładania sadów i szkółek drzew.

St. Zalesiński.

Ryby i stawy.

Galicya nasza z powodu swego położenia klimatycznego i swej ogromnej ilości rzek, stawów i bagien, powinna mieć taką obfitość ryb wszelkich gatunków, iżby całkowicie zaspokajała nietylko potrzeby swej ludności, lecz miała ponadto znaczne ilości na wywóz. Tymczasem dzieje się całkiem inaczej, a nawet wręcz przeciwnie. Nasza produkcya ryb bowiem nie wystarcza dla własnej konsumcyi i rocznie sprowadza się do nas ryb za jakich 10 milionów koron, nie licząc w to wcale konserw rybnych i ryb morskich. — Za tem idzie, iż ceny ryb u nas, na targach, są znacznie wyższe, niż na targach we Wiedniu lub Berlinie.

Różne są tego przyczyny, lecz jedną z najważniejszych, że nie wykorzystujemy tej naszej wielkiej obfitości wód i tych nieużytków, któreby się z łatwością do produkcyi ryb ze stosunkowo małym nakładem użyć dały. W dzisiejszych trudnych stosunkach ekonomicznych powinno się każdą piędź ziemi produktywnie wyzyskać, a tu w każdym niemal majątku ziemskim, czy to wielkim czy małym, stoją większe lub mniejsze obszary bezużytecznie. Jakie straty z tego powodu ponosimy, niechaj wykaże tylko wzmianka, iż jeden morg nieużytku, zamieniony na stawy, może dać z łatwością 500, 600, a nawet 1000 kor. rocznego dochodu

Wszędzie, gdzie tylko woda da się przez całe lato utrzymać, i czy to z opadów atmosferycznych, czy ze źródeł łup dopływu. lub potoku, chociażby na jakie $^1/_4$ metra głębokości spiętrzyć, a na zimę spuścić, dadzą się z bardzo pomyślnym skutkiem hodować karpie i liny, a osobliwie karpie. Karp stał się już dziś prawie zwierzęciem domowem, jak kaczka, wół lub świnia i tylko od wiedzy i woli człowieka zależy, by z niego wielkie korzyści ciągnąć. W Japonii i Chinach z małej sadzawki całe rodziny żyją dostatnio — a i u nas by coś podobnego z łatwością osiągnąć można. Wobec bardzo wysokich cen ryb i wielkiego tychże braku, łatwości hodowli ryb i wobec obowiązku wyzyskania ekonomicznie każdej piędzi naszej ziemi — zwracamy uwagę naszych szanownych czytelników na ten bardzo jeszcze zaniedbany produkt ekonomiczny i chętnie w tym celu udzielać będziemy naszych rad i fachowych wskazówek.

Wiosna jest odpowiednią porą do zarybiania stawów, gdyż karp rośnie i mnoży się jedynie tylko podczas dni ciepłych, przy temperaturze wody zwyż 14° C. — to jest przez miesiące wiosenne i letnie, w jesieni dojrzewa, a przez zimę znajduje się w stanie etargowym.

Na jeden morg powierzchni wody wypuszcza się, wedle żywności stawu 300 do 600 szt. narybku, lub 100 do 300 szt. kroczek; przy karmieniu sztucznem, można dać obsadę podwójną. Do obsady stawów, w gospodarstwach mniejszych najlepiej nabywać narybki i kroczki z dobrze renomowanych gospodarstw stawowych, nigdy jednak od handlarzy rybami. Stawy należy przez lato utrzymywać nie zarośnięte, co osiąga się bardzo łatwo przez koszenie zarostów, ile możności jak najgłębiej pod wodą. Do żywności stawów przyczynia się wiele pojenie bydła w stawach i nawożenie dobrze przegniłym gnojem. Najlepszym jest gnój z pod drobiu gołębi i nawóz z pod tuczonych świń, gnój koński jest szkodliwy. Jako karma dobry jest łubin, żyto, groch i mączka rybna. Glina w stawach jest bardzo pożyteczną.

Stanisław Snieszko.



ROZMAITOŚCI.

Stan szkolnictwa w Europie. Pewien szwedzki statystyk obliczył, że Europa posiada 365.452 szkół, 1,050.634 nauczycieli i 41,282.691 uczniów. Na szkoły ludowe Europa wydaje 2 miliardy koron. Z tej sumy przypada na Anglię czwarta część, na Niemcy — trzecia, na Austryę — dziesiąta, na Rosyę zaś — dwudziesta. Najwięcej analfabetów posiada Rumunia (75%), następnie Rosya (62%), Austrya-Węgry (50%), Niemcy na 400 osób mają tylko 5 analfabetów, Szwecya zaś tylko jednego (Nowe Tory).

Budowa szkół dla uciskanych mniejszości niemieckich. Jak przedstawia się obrona mniejszości niemieckich, dla których poeta Rosegger zainicyował zebranie 1,000.000 koron, o tem świadczą dwie miejscowości śląskie: Orłowa i Niem. Lutynia. W Orłowej Niemców jest 300 a ich szkoła niemiecka ma 400 dzieci, w tem 350 polskich. Niem. Lutynia liczy 140 Niemców, zaś szkoła „Schulvereinu“ ma 300 dzieci, oczywiście prawie wszystkie polskie.

Naród na najniższym stopniu kultury. Jestto naród na wyspie Sumatra. Różni się mało od zwierząt. Ludzie ci żyją w lasach, w małych gromadach, prowadząc życie koczownicze. Noc przepędzają pod drzewem lub w jaskini. Jedyną troską ich, to staranie o codzienny pokarm. Okrywają się korą drzew, a bronią ich: kij zaostrzony Nie uprawiają ziemi i nie żyją w żadnym stosunku do ludów sąsiednich. Nie uznają ani tańców, ani muzyki. Nie posiadają ani baśni, ani sztuki. Zmarłych zostawiają w miejscu, gdzie ich śmierć zaskoczyła, nie mają żadnych obrządków pogrzebowych.

Szkoła gospodyń w Podegrodziu. Z wiosną stanie nowa szkoła dla gospodyń wiejskich w Podegrodziu, w powiecie nowosądeckim. Osobne towarzystwo błogosławionej Kunegundy zebrało na ten cel 20 tysięcy koron, a sejm dał 15 tysięcy subwencyi. W szkole, która po wybudowaniu przejdzie pod zarząd powiatu, znajdzie umieszczenie 50 dziewcząt wiejskich, chcących się wykształcić na dobre gospodynie.

Poradnik teatrów i chórów włościańskich, organ „Związku teatrów i chórów włościańskich“. — Treść nr. 12: Bolesławicz: Jasełka i Szopki. — Kazimierz Gabryelski: Rady i wskazówki dla teatrów włościańskich (Ciąg dalszy). — Kronika. — Z pism i książek.

Odszkodowanie dla szynkarzy. „Diło“ donosi, że p. Namiestnik przyjął przychylnie deputacyę szynkarzy, domagającą się odszkodowania za stracone konsensy szynkarskie. Gdyby pan Namiestnik chciał rozpatrzeć szkody, wyrządzone ludności alkoholem np. w dziesięciu latach, trudno byłoby mu się doliczyć, bo możeby nie wystarczyła kwota 2 miliardów koron, a przecież są szkody moralne, niczem nie dające się opłacić, a nawet powetować!

Przysłowia ludowe o alkoholu.

Z wódki rozum krótki,
Z piwa głowa się kiwa,
Z wina głupia mina.
Z miodu łatwo wpaść do brodu.
Nie używaj gorzałeczki,
Będziesz głupie miał dziateczki.

Kobiety w walce z alkoholizmem odgrywają wcale nieposlednią rolę. I nic dziwnego, toć kobiety jako żony najwięcej cierpią z powodu pijaństwa swych mężów i najlepiej znają cały bezmiar nędzy, powodowanej przez ten nałóg. Zarazem też jako matki i wychowawczynie młodego pokolenia, najlepszą mają sposobność do wychowywania młodego pokolenia w zasadach wstrzemięźliwości. W czerwcu r. b. odbył się w Glasgow, w Szkocyi, ósmy kongres wszechświatowego „Związku chrześciańskich kobiet abstynentek“, łączącego większość ko-

biecych organizacyi antyalkoholowych, a obecnie ukazało się obszerne sprawozdanie z tego kongresu, dające zarazem pogląd na rozwój i działalność kobiecego ruchu przeciwalkoholowego w różnych krajach. Dowiadujemy się z niego, że związek liczył w lipcu r. b. ogółem 433.249 członków. Z tej liczby przeszło połowa przypada na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, jedna czwarta zaś na Anglię, reszta rozdziela się na inne kraje europejskie (szczególnie Szwecyę, Norwegię, Niemcy) na Afrykę Południową, Australię, oraz Azyę (Japonia, Indye, Chiny). — Rozwój idei abstyneckiej w tych krajach dalekich zawdzięcza związek swym „misyonarkom", które wysyła na swój koszt na wszystkie strony świata celem agitacyi. W wielu krajach przyjmują ich pomoc bardzo chętnie, a w Japonii rząd ułatwia im przystęp do wszystkich szkół publicznych. Dla propagandy wydaje związek oprócz organu urzędowego około 60 czasopism specyalnych w różnych krajach i językach. W jednych krajach zajmują się organizacye kobiece przeważnie pouczaniem dzieci o szkodliwości alkoholu, w innych zakładaniem gospód bezalkoholowych, propagandą abstynencyi wśród ludu i t. d!

Następująca odezwa zapraszała na wiec w sprawie szynków, który był wydany przez Tow. „Eleuteryi" w Krakowie:

„Ostatnia masowa deputacya galicyjskich szynkarzy w Wiedniu, przeprowadzona tak demonstracyjnie dowiodła niezbicie, że żywioły na wskroś reakcyjne łącznie z najskrajniejszymi radykałami nie szczędzą trudu ni ofiar, byleby przy pomocy rozpajania mas odzyskać w kraju dawne wpływy tudzież zapewnić sobie olbrzymie dochody, jakie im nieokiełzane niczem szynkarstwo od tylu lat aż dotąd bezkarnie przynosiło.

Nędza i ogólne zaniedbanie naszego kraju, to niemal wyłącznie dzieło samowoli i wyzysku tych, co dzisiaj wrzawę na rzekomy ucisk podnieśli i ratunku poza jego granicami szukają, sądząc, iż łatwiej zbałamucić będzie można lamentami i udaną pokorą władze wiedeńskie, jako nieświadome dotychczasowych ich praktyk i arogancyi.

Wobec tego obowiązkiem jest całego polskiego społeczeństwa, obowiązkiem całej krzywdzonej tak bezwzględnie ludności kraju zaprotestować obecnie przeciw podobnemu okłamywaniu opinii publicznej zapomocą organizowania takich demonstracyi przez jednostki pozbawione całkowicie ludzkiego uczucia dla niedoli bliźniego i dla osobistych celów zapoznające faktyczne potrzeby kraju.

Obowiązek taki cięży w pierwszej linii na wszystkich abstynentach, bez względu na ich narodowość i przynależność organizacyjną, skutkiem czego zwracamy się niniejszem do Wielmożnego Pana z prośbą, by w jaknajbliższym czasie na publicznych zebraniach omówił, a gdzie tylko sprzyjają ku temu miejscowe warunki, by dla tej wyłącznie kwestyi zwołał wiec publiczny dla rozpatrzenia następujących tematów:

1. Jakie znaczenie dla rozwoju kraju ma zmniejszenie liczby szynków.
3. Stanowisko szynkarzy i ich protektorów w tej sprawie, a zwłaszcza ich ostatnia deputacya do Wiednia. Dlaczego udział w niej brali przeważnie żydzi z wschodniej Galicyi, gdzie właśnie żydzi najwięcej otrzymali koncesyi szynkarskich?
3. Uchwalenie protestu przeciw żądanemu przez szynkarzy odszkodowaniu za rzekome straty z powodu nieotrzymanych koncesyi oraz przeciw zamierzonemu pomnożeniu liczby szynków przez uwzględnianie rekursów".

Nadmieniamy, że w Krakowie odbył się taki wiec 5 b. m., a przed kilku dniami wysłano stąd do Prezesa Koła polskiego dra Stanisława Łazarskiego w Wiedniu następujący telegram:

„Za męskie, nacechowane gruntowną znajomością istotnych potrzeb kraju wystąpienie wobec deputacyi galicyjskich szynkarzy składamy wyrazy czci i wdzięczności. Za wy-

dział Krakowskiej Eleuteryi: Stanisław Stączek, przewodniczący".

Prosimy też interesować się pilnie sprawami koncesyi szynkarskich zwłaszcza tam, gdzie pewnych nieformalności lub braku kandydatów szynki z gmin wyrugowano, a obecnie, pod naporem Wiednia, żydów obdzielać nimi rozpoczną. Każdy taki fakt prosimy opisać nam dokładnie, poczem ułożymy z tego memoryał i do publicznej podamy go wiadomości. Również prosimy o szczegółowe sprawozdania ze zgromadzeń i wieców w tej materyi zwoływanych. Przy pracy tej niechaj nie braknie nikogo, komu dobrobyt kraju i odrodzenie narodowe leży na sercu".

Kraków, w lutym 1911.

Z Zarządu krakowskiego Oddziału Eleuteryi:

Józef Cieplik sekretarz. *Stanisław Stączek* przewodniczący.

Ile przepija Rosya? Według wiadomości organu urzędowego rosyjskiego ministeryum skarbu, wypito w Rosyi w r. 1909 ogółem 84.283.000 wiader wódki, t. zn. na głowę przypada średnio przeszło pół wiadra (0.6). Wydatek roczny na wódkę był w poszczególnych częściach państwa bardzo różny, bo gdy np. w Królestwie Polskiem przypadało na głowę 2 rb. 8 kop. wydatku rocznego na wódkę, to w okręgu t. zw. południowo-zachodnim wydatek ten wynosił przeszło dwa razy tyle, t. j. 4 rb. 24 kop., a w okręgu południowym jeszcze więcej, bo 5 rb. 12 kop. Z obliczeń urzędowych wynika, że największa trzeźwość panuje w Królstwie Polskiem, ale i tam jeszcze alkoholizm jest straszną klęską, która pochłania rocznie około 70 milionów rubli wydatku i zabiera tysiące ofiar, a której usunięcie wymagać będzie długiej i wytężonej walki.

Zapomogi dla towarzystw przeciwalkoholowych daje od niedawna także rząd niemiecki. Dotąd otrzymywało je tylko „Niemieckie Stowarzyszenie przeciwko nadużywaniu napojów gorących", kierunku umiarkowanego, i to w ilości 8000 mrk. Niedawno temu zaś także radykalny, abstynencki „Zakon Dobrych Templaryuszy" otrzymał zapomogę rządową w ilości 2000 mrk. Nie jest to suma zbyt wielka, dowodzi jednak, że rząd niemiecki zaczyna się powoli liczyć z ruchem abstynenckim. Inne rządy, szczególnie skandynawskie, od dawna już wspomagają walkę z alkoholem znaczniejszemi ofiarami. I tak np.: Szwecya wydaje na ten cel rocznie 201.750 kor., rząd norweski płaci rocznie 16.200 kor. zapomóg, Dania 24.000 koron, Finlandya 40.000 mrk., fińskich, a Szwajcarya około 145.000 fr.

Wojna nie jest tak niebezpieczna jak alkohol, owa trucizna, zawarta we wszystkich napojach upajających. Statystycy obliczają, że w państwie niemieckiem ginie rocznie 50.000 ludzi jedynie wskutek alkoholu: bądź to przez nieszczęśliwe przypadki, spowodowane alkoholem, bądź też wskutek nadwyrężenia zdrowia przez pijaństwo, bądź wreszcie przez samobójstwo, popełnione po pijanemu. Ta sama mniejwięcej ilość ludzi zginęła w ostatniej wojnie francusko-niemieckiej. Wojna jednak zdarza się tylko raz na kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat, alkohol zaś zabiera swe ofiary z pośród nas corocznie, dzień w dzień bez przestanku. Przypatrzywszy się dokładniej strasznym jego skutkom, trudno nie przyznać racyi Gladstoneowi, sławnemu politykowi angielskiemu, który twierdził, że alkohol pochłania więcej ofiar, niż wszystkie choroby zaraźliwe, głód i wojny razem wzięte.

Obłąkanie trzynastoletniego wskutek palenia tytoniu. Znany holandyjski prof. Pel w Amsterdamie donosi o wypadku wyraźnej psychozy u trzynastoletniego chłopca — z powodu nadużywania tytoniu. Chłopiec ów zatrudniony w fabryce cygar, wypalał dziennie 10 do 20 cygar. W stosunkowo krótkim czasie pokazały się straszne skutki tego nałogu. Otóż chłopak cierpiał na bezsenność, dostawał długotrwających kurczy płacznych, podczas których wołał za matką jak małe dziecko; dalej cierpiał na

halucynacye czyli omamy, zmieniał nagle swe usposobienie i wykazywał coraz częściej nieprzytomność umysłu. Po należytem zbadaniu w lecznicy, przekonano się o wyraźnych objawach psychozy t. zn. zboczenia umysłowego czyli obłąkania. Prof. Pel usilnie przestrzega młodzież przed paleniem tytoniu.

Zaguba pamięci przez strach. Pewna telefonistka w Nowym Jorku straciła zupełnie pamięć i to przestraszywszy się przy sposobności eksplozyi dynamitowej. Różni sławni lekarze usilnie starali się ją leczyć — niestety bez skutku. Nareszcie kazano jej się udać do swej rodzinnej osady i odczekać. Obecnie donoszą stamtąd, że owa panna Mina Karn, pozyskała znowu swą pamięć i to po trzygodzinnem leczeniu hypnozą przez znajomego lekarza, Pierwszem jej pytaniem było: „Cóż to był za przeraźliwy huk?"

O wpływie alkoholu na pamięć, ogłosił świeżo ciekawą pracę, opartą na 7-miesięcznych własnych doświadczeniach, profesor psychiatryi przy uniwersytecie w Chrystianii, dr. Ragnar Vogt. Stwierdził on z całą dokładnością, że nawet drobne dawki alkoholu, np. 15 gr., t. zn. tyle, ile zawiera pół litra piwa, osłabiają stanowczo pamięć, utrudniając np. uczenie się wierszy na pamięć i t. d. Po użyciu 30 gr. alkoholu naczczo pamięć była nawet przeszło o połowę gorsza. Oprócz tego zauważył także dr. Vogt, że to, czego się nauczył pod wpływem alkoholu, mniej silnie tkwiło mu w pamięci, t. zn., że znacznie łatwiej to zapominał. Doświadczenie to, którego wyniki zgadzają się zresztą zupełnie z podobnemi doświadczeniami prof. Kraepelina, Smitha i in., powinno skłonić wszystkich pracujących umysłowo, aby we własnym interesie porzucili napoje alkoholowe. (Sł. P.).

Gdzie umiera najwięcej dzieci. W Bawaryi, w klasycznym kraju piwa, na 1000 niemowląt około 300 umiera w pierwszym roku ich życia, t. zn. umiera prawie połowa dzieci. Jaki ogrom troski, łez, zmartwienia, ileż zmarnowanej siły roboczej przedstawiają te liczby. Na 237.000 dzieci, rodzących się rocznie w Bawaryi, około 6.500 rodzi się nieżywych; z pośród 230.000 dzieci, które żywo przyszły na świat, umiera już w pierwszym roku życia 69.000. Nie przesadzimy, twierdząc, że większą część winy tej wielkiej śmiertelności ponosi ów „napój ludowy" piwo. K. R.

Ciekawe wyniki w angielskich towarzystwach ubezpieczenia życia. W 69-ym sprawozdaniu rocznem jednego z największych angielskich stowarzyszeń ubezpieczenia życia, w którem istnieją tylko dwa rodzaje ubezpieczonych: tacy, którzy nie używają nigdy napojów upajających i tacy, którzy piją rzeczywiście bardzo umiarkowanie — zaznaczono, że i w tym roku, jak zwykle, okazało się, iż członkowie nie pijący zupełnie, żyją przeciętnie znacznie dłużej, niż umiarkowanie pijący. Dyrektor stowarzyszenia, znany poseł do parlamentu, Whittaker, zaznaczył na odbytem niedawno temu walnem zebraniu rocznem, że porównanie cyfr śmiertelności w obu oddziałach dlatego jest szczególnie ciekawe, ponieważ w t. zw. oddziale ogólnym (dla umiarkowanych) znajdują się istotnie ludzie starannie dobrani, żyjący prawdziwie umiarkowanie, a mimo to i u nich śmiertelność jest znacznie większa, niż u niepijących zupełnie, abstynentów. Najlepszy to dowód na to, że także mierne używanie alkoholu skraca życie.

Trzy szklanki kwaśnego mleka dziennie niech pije, kto chce żyć lat 120 — tak radzi protestancki biskup Fallows z Chicago, który — jak czytamy w lekarskich czasopismach amerykańskich i angielskich — poświęca więcej czasu sprawom hygienicznym, niż biskupim. Tymi dniami wydał on broszurę, w której zapewnia, że większa część ludzi może, prowadząc życie rozumne, dożyć lat 120 i że mężczyzna każdy i każda kobieta powinni być w sile zdrowia, mając lat 80. Biskup ma lat 73, oświadcza, że czuje się młodzieńcem. Znany jest i powszechnie

poważany w Ameryce jako mąż głębokiej wiedzy. Według niego ludzie dlatego schodzą z świata przedwcześnie, ponieważ w nowoczesnych warunkach życia żyły twardnieją w miarę wieku, a powodem tego jest gromadzenie się w nich materyi wapiennych. To samo głosił Charcot (w Paryżu) i Miecznikow, który był asystentem Pasteura. Najlepszym lekarstwem na zwapnienie żył, pisze Fallows, jest kwaśne mleko lub maślanka. Doświadczenie długoletnie przekonało go, że dwie lub trzy szklanki na dzień przeciwdziałają zwapnieniu arteryi i wprost cudownie odbudowują organizm. Zwierzęta, których odżywianie się jest zawsze normalne, osiągają wiek, który się oblicza w stosunku pomnożenia wieku niemowlęcego przez 6. Ponieważ człowiek dojrzewa około 20 roku życia, więc powinien żyć lat 120. Biskup chce, ażeby, jak Ameryka długa i szeroka, nie było człowieka, któryby nie wypijał codzień trzech szklanek kwaśnego mleka.

Trzeba przyznać, że w tym przepisie mieści się dużo prawdy. Jestto zarazem praktyczny sposób przeciw nadużywaniu alkoholu. Kto się przyzwyczai do picia mleka i maślanki, ten zwykle nie lubi pić dużo piwa lub wódki.

Praca jako lekarstwo. Nietylko fizyczna praca jest lekarstwem na rozstrojone nerwy, hipochondryę, melancholyę i t. p. Z fizyczną pracą łączyć się powinna praca umysłowa, jeśli człowiek chce zachować w całej pełni siły ciała i umysłu. Ustrój ludzki można porównać z pługiem: używany pług jest świecący, ostry — nieużywany rdzewieje — powoli rdza go stoczy. Z człowiekiem nie pracującym będzie to samo — zgryzie go rdza lenistwa, złych myśli i t. p. Póki człowiek jest jako tako zdrowy, póki ma siły, powinien pracować, jeśli nie dla zarobku, mając majątek, to z zasady, dla społeczeństwa, dla dobra innych. W pracy leży zadowolenie wewnętrzne, bez którego nikt zupełnie zdrowym być nie może. Tylko po pracy jest miły wypoczynek, praca tylko daje sen i apetyt, przy pracy zapomina się o dolegliwościach i zmartwieniach. Każdy człowiek jednakże powinien sobie wybrać pracę odpowiednią jego zdolnościom i skłonnościom; praca niestosowna lub zbyt ciężka przygnębia. Nerwowe osoby skarżą się zwykle, że je praca męczy, że nie daje zadowolenia — gdyby im kto jednakże kazał zupełnie zaprzestać pracy, byłyby jeszcze nieszczęśliwsze, rozchorowałyby się może na dobre.

Naturalnego snu nie wolno przerywać. Każda osoba pielęgnująca chorych powinna sobie dobrze zapisać w pamięci, że naturalnego snu chorego nie trzeba przerywać, ani dlatego, żeby podać lekarstwo, ani dla zmiany okładu i t. p. Niema skuteczniejszego środka na wszelkie choroby, niema nic więcej uzdrawiającego jak naturalny sen. W bardzo ciężkich, niebezpiecznych chorobach, gdy przyjdzie naturalny sen, można mieć nadzieję, że je pacyent przezwycięży. Chorego trzeba obudzić tylko wtedy, gdy gorączka jest bardzo silna, gdy puls śpiącego bije 130 razy na minutę, a lekarz każe zastosować chłodne otulenie, kąpiel lub t. p.

Nie możemy nigdy dosyć zalecić otwierania okien w pokojach dla chorych — świeże czyste powietrze to pierwszy warunek wyzdrowienia. Okna zamyka się tylko, gdy pacyent ma się wykąpać lub też dostaje świeży okład, także przy silnym mrozie od czasu do czasu trzeba zamknąć okno, gdy chory uczuwa potrzebę ciepła.

Jak tylko pacyent zacznie na dobre wstawać, pogoda po temu, nie trzeba zwłóczyć z wyprowadzeniem go lub z wywiezieniem na przechadzkę.

Unikaj gniewu! Gniew szkodzi piękności, mówi przysłowie i jest w tem dużo prawdy, gdyż szpeci rysy twarzy nadając jej wyraz ostry, nieprzyjemny. Niedość na tem, gniew szkodzi także zdrowiu i to nawet w wysokim stopniu. Osoby, nie umiejące nad sobą panować, wybuchające o lada drobnostkę gniewem, cierpią prawie zawsze na

żołądek, na niestrawność, są przytem zdenerwowane drażliwe. Bywały wypadki, że wielkie wybuchy gniewu spowodowały natychmiastową śmierć. W gniewie działa się i myśli zupełnie inaczej niż w spokojnym stanie, to też gdy ochłoniemy z gniewu żałujemy nieraz naszej popędliwości. W dzisiejszych utrudnionych warunkach bytu, w walce o chleb, powodów do gniewu nie brak na każdym kroku — zimna krew staje się cnotą coraz rzadszą. Pamiętajmy co mówi pismo św.: Niech słońce nie zachodzi na gniew twój. — Jeśli komu bardzo trudno się pohamować, niech weźmie w usta zimnej wody i trzyma ją tak długo, dopóki pierwszy napad gniewu nie minie, uspokoi go to i uchroni od słów nierozważnych. Szczególniej rodzicom i wychowawcom zalecamy panowanie nad sobą i zachowanie zimnej krwi.



Zdrowie — to szczęście i potęga!

„W zdrowym ciele — zdrowy duch!"

Najważniejszym czynnikiem w życiu jest zdrowie. — Najważniejszym czynnikiem zdrowia jest oświata. — Najważniejszym czynnikiem jest znajomość hygieny. — Kto chce być zdrowym, — kto chce nabyć prawdziwej oświaty, — kto chce się zaznajomić z prawidłami hygieny, niechaj zaabonuje sobie miesięcznik »Przewodnik Zdrowia«.

„Przewodnik Zdrowia"

jest niezbędnym dla wszystkich zawodów i stanów; powinien go czytać: każdy robotnik, każdy rzemieślnik, każdy przemysłowiec!!!

Przedpłata całoroczna wynosi 5·— M. = 6·— K = 3·— rbl. = $^1/_2$ dolara. „Przewodnik zdrowia" można zapisywać także na pocztach (w Rzeszy Niem. i w Austryi), ale tam zawsze tylko na pół roku (cena 2·20 M. = 3·— K). Najlepiej jednak jest przesłać całą przedpłatę całoroczną wprost do wydawnictwa, adresując: **Expedycya „Przewodnika Zdrowia" p. Czarnowski, Berlin N. 58 Weissenburgestr. 27.**

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka. — Druk A. Rippera w Krakowie.

DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY
DO NR. 4 „PRZODOWNICY“.

JADWIGA Z ŁOBZOWA.

PO PEREŁKI.

„Stara powieść stanie za stare wino“.

W Warszawie w r. 1807 był bal.

Piękne panny postrojone w różnokolorowe suknie, tańczyły żwawo, kawalerowie byli dziarscy i raźni, a muzyka grała skocznego mazura.

Sala oświetlona rzęsiście, w zwierciadłach wspaniałych odbijają się postacie pięknych pań, ściany obite adamaszkiem, meble złocone, kwiaty dookoła... jakże to piękny i wspaniały widok.

Pan Zygmunt, syn bogatego obywatela był także na tym balu z matką i siostrą. Był to śliczny mężczyzna, żwawy, układny, więc panny spoglądały na niego ciekawie ta i owa szeptała do drugiej: – Najpiękniejszy!... — Królem dzisiejszego balu!... Musi się podobać!...

Ale pan Zygmunt widział tylko jedną pannę i o jednej tylko myślał. Była to panna Wanda X., córka generała wojsk polskich

Wanda, śliczna, szczęśliwa, bawiła się na balu najlepiej z wszystkich panien, bo pan Zygmunt nie odstępował jej na krok, a szeptał coraz ciszej i coraz dłużej o rozmaitych planach...

Panna Wanda miała na szyi perełki prześliczne i ogromnie wielkiej wartości.

Gdy usiadła po tańcu zmęczona przy Matyldzie, siostrze pana Zygmunta, mówi z śmiechem:

— Dlaczego ty Matyldo dziś perełek nie ubrałaś? Masz tak samo piękne perły i było by ci w nich do twarzy, dlaczego nie ubrałaś?

— Sama nie wiem, dlaczego ich nie wzięłam, żałuję teraz.

— Wiesz co? — woła Wanda. — Poproś brata przyniesie twoje perełki. Tak blizko mieszkanie państwa, tak krótko to będzie trwało, cóż to szkodzi, gdy na chwilę wybiegnie i perełki przyniesie?...

Matylda na brata spojrzała badawczo, nie wiedząc, czy zechce przerwać zabawę. Ale panna Wanda rozbawiona i rozweselona rzecze:

— Cóż to by pan nie poszedł?... Jeśli ja poproszę, nie odmówi mi pan, prawda?..

— Ależ dla pani z największą chęcią, zaraz na drugiej ulicy nasze mieszkanie, wrócę nim muzyka zacznie grać — proszę niech pani nie tańczy z nikim mazura, bo ja prosiłem o niego, wnet będę... proszę zaczekać na mnie.

I wybiegł żwawo młodzian ze sali, a Wanda z Matyldą rozmawiając wesoło, czekały na perełki.

Przeszło chwil parę. Muzyka zaczęła już grać do tańca. W skocznym ruchu posuwały się pary, mazur grzmiał dziarskiemi hołupcami, ten i ów kawaler podbiegając, prosi pannę Wandę, ale ona odrzeknie: Czekam na pana Zygmunta, jemu taniec przyrzekłam. Matylda znikła wśród tańczących, Wanda została sama.

— Co to znaczy? Dlaczego on nie wraca — pyta Wanda sama siebie.

Rozwinęły się pary wieńcem barwnym, Matylda przybiega niespokojna do Wandy pytając:

— Jeszcze nie wrócił?

— Nie rozumiem, co się stać mogło, — rzecze Wanda i zaczyna się chmurzyć. Mazur taki dziarski wszyscy tańczą, ona czeka wygląda, już minęło pół godziny... co to znaczy?

Daremne czekanie, pan Zygmunt nie wraca.

Przeszła godzina, jego niema...

Wanda mnie koronkową chusteczkę w ręku, na czole jej rysa gniewu, oczy nawet jakby łzami zaszły.

— Co to być może? — pyta Matylda siadając zmęczona po tańcu.

— Już mazur się skończył, a jego niema... to coś dziwnego.

— Pójdę, poproszę mamę, ażeby posłała służącego niech się dowie co to znaczy.

— Może zachorował?

— Może jaki wypadek.

— Ależ to parę kroków, zaraz naprzeciw.

Posłano służącego. Lecz jeszcze większy niepokój to wywołało. Służącemu powiedziano, iż pan Zygmunt był dawno, wziął pudełko z perełkami i natychmiast wyszedł.

Biedna Wanda, omal że nie płacze.

— Po co mi się tych perełek zachciało? Zepsułam sobie zabawę i Zygmunta wysłałam, a teraz tylko niepokój i zmartwienie.

Matka pana Zygmunta blada i trwożna ciągle czeka kiedy jej syn wróci, Matylda humoru już do tańca niema, a i panna Wanda nie bawi się wcale.

Gdy Już trzy godziny minęło i Zygmunt z perełkami nie wracał, pożegnała się Wanda z matką i siostrą jego, pojechała z ojcem do domu.

Matka i siostra czekały, lecz Zygmunta nie zobaczyły.

* * *

Na drugi dzień, już nad wieczorem wbiegła Matylda do Wandy.

— Wyobraź sobie mamy list od Zygmunta.

— List? Jakto? Albo jego niema w Warszawie?

Wanda zbladła i drżącym głosem powtarza:

— Niema pana Zygmunta?

— Oto czytaj sama... ciekawe zdarzenie.

Wanda czyta:

„Kochana mamo!

Ponieważ wiem, iż mama, siostra i panna Wanda są pewno zdziwione dlaczego na bal nie wróciłem i perełek nie przyniosłem, więc pospieszam, ażeby uspokoić i usprawiedliwić się.

Otóż, gdy wbiegłem do domu i perły wziąłem z komódki, włożyłem je do kieszeni futra i ani minuty nie czekając, biegnę, ażeby się do mazura nie spóźnić. W bramie zastępuje mi drogę oficer francuzki i wręcza list od Jerzego. Jerzy, mój kochany kolega i przyjaciel, który z cesarzem Napoleonem odbywał wszystkie wyprawy wojenne, właśnie w przemarszu zatrzymał się na Błoniu i prosił mię, ażebym go odwiedził bo zaraz rano wyjeżdża do Torunia. Więc wsiadam do powozu, jadę do Jerzego i myślę, jak będę przepraszał pannę Wandę za zdziwienie. Przyjeżdżam do Błonia, lecz powiadają mi, że Jerzy przed kwadransem wyjechał do Sochaczewa i tam na mnie czekać będzie. Co tu począć? Tam bal, panna Wanda na mazura czeka, Matylda czeka na perełki, a tu przyjaciel kochany, którego 11-cie lat nie widziałem. Lecz myślę: przeproszę mamę, siostrę i śliczną pannę Wandę, lecz kolegę odwiedzę.

Pędzę do Sochaczewa. Tymczasem posyłam list umyślnym posłańcem. Dziś wieczór będę w Warszawie i przeproszę pannę Wandę za mazura, a Matyldę za nieoddane perełki.

Mamie całuję ręce z uszanowaniem

Zygmunt.

* * *

Trzy dni od tej pory minęło, a Zygmunt jeszcze do Warszawy nie przyjechał. Niepokoiła się tem trochę matka, ale Matylda ją pocieszała:

— Nic innego, tylko razem z Jerzym pojechał dalej, bo mu tęskno było się rozstać.

Lecz zamiast Zygmunta znowu list się zjawia.

— Piszę z Kutna droga mateczko. Wiem, że cię ta nowina zdziwi, jak ja sam się dziwię, iż tu jestem. Ale prawdziwie zabawna historya poczyna się wywiązywać z tej mojej wyprawy po perełki Matyldy.

W Sochaczewie z Jerzym uściskałem się serdecznie, a nawet łzy się nam potoczyły po licu, gdyśmy się obaczyli. Wypiękniał on i zmężniał. Egipsko-hiszpańskie słońce go opaliło. Bliznę ma nad lewem okiem. Dowodzi on teraz własnym pułkiem i jest w całym tego słowa znaczeniu dzielnym wojakiem. Opowiadał mi tysiące ciekawych zdarzeń wojennych i tak nam czas przeszedł prędko. Północ minęła, a my jeszcze nie mogliśmy się rozłączyć. Wreszcie potrzeba było koniecznie pożegnać się. Jerzy musiał jechać, ja także pragnąłem wrócić do Warszawy. Każę zaprzęgać, a służący donosi, iż jeden koń chory i ani myśleć, ażeby mógł jechać. Więc wtedy Jerzy do mnie powiada

— Ja ci się o konie postaram. Dam rozkaz i dostawią ci woźnicę z parą koni.

W czasie wojny, taki rozkaz starszego wojskowego jest bardzo silnym rozkazem, bo jak wiadomo, wojskowi zabierają konie bez pytania do rozmaitych posyłek, lub do jazdy. Tak i dla mnie przyprowadzono jakiegoś wieśniaka. Zaprzągł on swoje szkapy do mego powozu, a ja pożegnawszy jeszcze raz serdecznie Jerzego, otuliłem się futrem, wcisnąłem pudełko z perełkami lepiej, ażeby mi nie wypadło, wcisnąłem się wygodnie i mówię: jazda! Mróz był tęgi. Ja w balowem stroju zziębłem co się zowie, więc jadę i jadę, a czekam, kiedy już Warszawę obaczę. Lecz coś mi się zdaje ta droga za długa. Co to znaczy, iż jeszcze Warszawy nie widać? Świta już — patrzę, a my wjeżdżamy do jakiegoś małego miasteczka.

— Hola! — krzyknę na woźnicę — Gdzieś ty mię zawiózł?

— Do Kutna proszę pana!

— Do Kutna? Czyś oszalał? Przecież ty miałeś mię do Warszawy zawieść.

— Gdzie tam do Warszawy — mruczy gniewnie wieśniak — wzięli mię tu kiedyś żołnierze forszpanem do Sochaczewa i mówili, że zaraz wrócę do domu. Tak teraz wróciłem do domu, a do Warszawy nikt mi jechać nie kazał.

Co ja teraz pocznę? Poczynam prosić się i irytować. Zimno mi dokucza, na nogach mam cienkie, balowe trzewiki, ubranie wcale nie do dalekiej drogi, a tu zawiózł mię chłopina zamiast na prawo, na lewo — z Sochaczewa jedzie się do Warszawy na prawo a on pojechał z Sochaczewa do Kutna kilka mil na lewo.

Woźnica odpiął konie od powozu i poszedł zadowolony do domu, a ja siedzę i marznę.

Wyszedł karczmarz i pyta:

— Co się stało?

Opowiadam mu wszystko i proszę:

— Znajdźcie mi jakie konie do Warszawy, a zapłacę hojnie, bo bardzo mi się spieszy.

Wszedłem do gospody żydowskiej, ażeby się jako tako zagrzać, a karczmarz biega sam i posyła ludzi, ale w całym Kutnie ani jednej pary koni niema. Nie do uwierzenia to, a jednak prawda. Przed trzema dniami przemarsz wojsk był tędy i wtedy zabrano wszystkie konie.

Około południa przychodzi karczmarz:

— Tylko te konie są, co pan niemi przyjechał, ale ten wieśniak i za wielkie pieniądze nie chce jechać, bo mówi, że konie zmęczone. Może jak konie spoczną, a pan mu dobrze zapłaci, może pojedzie.

— Niech i tak będzie, mruczę z gniewem cóż mam robić lepszego.

Więc zapłacę ile zechce i przyjadę, a tym-

czasem list oddaję, ażeby cię kochana mamo uspokoić.

Całuję rączki.

Zygmunt.

* * *

Minęło trzy dni, a Zygmunta niema w Warszawie.

Matka z siostrą wyglądają go niecierpliwie, a panna Wanda i wzdycha i narzeka:

— Ktoby się był spodziewał, iż moja prośba o perełki tyle zrobi kłopotu.

— Tak to bywa w czasie wojny — rzecze matka Zygmunta — Gdy się rozpali ogień wojny, nikt pokoju nie zazna.

— Ja się tylko boję, ażeby się Zygmunt nie zaziębił — mówi Matylda — tak się zdaje, ale w balowym stroju podróżować w te mrozy.

– Wszystkiemu winne moje perełki — znowu się żali Wanda.

— Czekaj! ktoś idzie... puka... może on? Nie to znowu posłaniec z listem.

– Matylda chwyta list i spojrzawszy woła:

– Jezus! Marya! Toż on już w Poznaniu!

– Co mówisz? Nie może być...

— Chodźmy do okna, przekonamy się czy się nie mylę.

Matka Zygmuta zbladła i czeka na wieść. Niestety!... Coraz gorsze wiadomości. Matylda czyta głośno:

— Najdroższa moja mamo!

Pamiętam niektóre bajki, opowiadane mi przez starą niańkę o zaczarowanych królewiczach, lub królewnach i zdaje mi się, że chyba i mnie kto zaczarował w jakiego błędnego podróżnika, który mimo chęci i woli musi jechać coraz dalej i dalej w przeciwną stronę, nie tam, gdzie rad się dostać jak najprędzej.

Ani myślałem o podróży dalekiej wybiegłem z sali balowej po perełki siostry, a oto już jestem w Poznaniu i jestem, jak więzień trzymany.

Wyobrażam sobie wasze zdziwienie, gdy się o tem dowiecie. I ja sam dziwię się, iż się tak dziwnie wszystko poplątało, a co dalej będzie, już sam nie wiem. Staram się wszystko tak zarządzić, ażeby jak najprędzej do Warszawy wrócić, ale przeciwnie jechać muszę coraz dalej.

40 mil od Warszawy odjechałem z perełkami Matyldy w kieszeni, czy to nie śmieszne?

Ale opowiem jak się to stało.

Gdy w Kutnie ubłagałem owego wieśniaka, ażeby mię odwiózł do Warszawy, wsiadam do powozu szczęśliwy, iż raz wreszcie ruszę do domu, aż tu dwóch oficerów francuskich zbliża się do mnie prosząc na wszystko ażebym ich wziął ze sobą, bo nie mogą nigdzie koni dostać, a mają pilny interes. Nie mieli oni jechać daleko, tylko do drugiej wsi, więc ich odwiozłem. Zostawiam ich we wsi, sam jadę dalej, aż tu krzyk i hałas przeraźliwy. Kilku francuskich żołnierzy zatrzymuje konie i ściągają woźnicę z kozła.

– Co takiego? pytam zdziwiony.

— Ten wieśniak uciekł od forszpanu, musi być odstawiony do pułku.

Ale on nie uciekł, tylko ja jego wynająłem i on mnie wiezie do Warszawy.

– Kto pan jesteś i proszę pokazać paszport.

— Paszport? Struchlałem. Teraz dopiero przypomniałem sobie, iż w czasie wojny bez paszportu jeździć nie wolno, a ja z balu wychodząc, wszakże paszportu ze sobą nie brałem.

Nic nie pomogło. Zabrali mię Francuzi jako jeńca i oto siedzę w Poznaniu o 40 mil od Warszawy, woźnica mój poszedł pod straż. Tak się sprawa z perełkami zaczyna plątać.

Proszę więc bardzo, niech mi mama zaraz mój paszport przyszle i papiery potrzebne i pieniędzy trochę, bo kazałem sobie tu zrobić ubranie ciepłe. W balowym stroju nie będę tu siedział, na powrót pieniędzy nie mam. Mój powóz Francuzi zabrali. Niech tam, bylem ja do Warszawy wrócił. Kupię

sobie tęgiego wierzchowca i tak do Warszawy przyjadę. O! gdyby panna Wanda była wiedziała, co z tego wyniknie, nie byłaby mnie po perełki Matyldy wysyłała... Co mnie to teraz kosztuje i ile zmartwienia!... Ale gdy powrócę muszę otrzymać sute wynagrodzenie za daleką podróż. Proszę przysłać moje papiery i pieniądze i niech się mama nie troszczy, jakoś to się zakończy

Całuję rączki Zygmunt.

* * *

Lecz oto już zima minęła. Już zawitała wiosna miła i pogodna, a Zygmunt do Warszawy jeszcze nie wrócił.

Biedna matka zaczynała się już coraz więcej martwić i panny coraz dłużej szeptały o smutku matki i przygodach Zygmunta.

Gdy Zygmunt został w Poznaniu uwolniony, nie czekał na papiery, lecz jechał czemprędzej do domu. Spotkali go znowu Prusacy i chwycili, jako niewolnika. W mrozy i zawieje na Śląsk go odstawili, ubrali w mundur i jako żołnierza w szeregi postawili.

– Tak bywa podczas wojny — szepce matka — Tak to bywa, kiedy w kraju nie ma spokoju i ciszy.

W kwietniu przychodzi list od Zygmunta.

— Kochana mamo! Jestem już w Magdeburgu. Gdy mię Prusacy prowadzili do kwatery głównej, właśnie rozpoczęła się wielka bitwa.

Francuzi z lewej strony napadli na Prusaków — kilkanaście trupów poległo, a ja z innymi dostałem się do niewoli francuskiej.

Ponieważ miałem na sobie mundur, pruski, uważano mię za prawdziwego jeńca. Wszelkie tłómaczenia i przedstawienia z mej stony były daremne. Teraz muszę błagać i prosić, ażeby mama była łaskawa wstawić się za mną w Warszawie i wyrobić mi uwolnienie, bo doprawdy zaczynam rozpaczać Pieniądze wydałem, co tylko miałem. Konia i zegarek zabrali mi Prusacy.

Francuzi mię uwięzili, a perełki Matyldy kryję jak mogę najlepiej, bo gdyby się dostały w ręce niepowołane do opieki, byłoby bardzo źle. Cała moja nadzieja w Jerzym. Napisałem do niego z prośbą, by się za mną wstawił, on jest przecież komendantem pułku francuskiego, on udowodni Francuzom, iż nie jestem ich wrogiem, żem Polak, a wtedy pewnie uwolnią mię rychło. Niechże mama będzie łaskawa w Warszawie wstawić się za mną, bo radbym wreszcie wrócić do domu. Spodziewajcie się, iż kiedyś wreszcie z tej pielgrzymki wrócę.

Zygmunt.

* * *

Kochana mamo!

Dziś już 10 maja, a ja zamiast zbliżać się do Warszawy jadę coraz dalej. Jestem już we Francyi. Już chyba można się uśmiać z tej mojej podróży po perełki Matyldy!... Jeśli tak dalej pójdzie, to chyba zawiozą mię do Ameryki, stamtąd do Azyi, do Chin Indyi, Persów, a tak objechawszy całą ziemię dokoła, może dopiero wtedy Matyldzie perełki oddam w Warszawie...

Oj ta wojna! ta wojna!... Co się to wtedy dzieje, gdy ona swoje skrzydła nad krajem rozepnie... Jerzy chciał mię ratować, poczynił starania, ale zanim to do skutku przyszło, już wyszedł rozkaz francuski, ażeby wszystkich jeńców na drugą stronę Renu przeprowadzić. Więc musiałem pójść z wszystkimi.

Źle mi bardzo bez pieniędzy. Poszedłem na bal i zaprosiłem pannę Wandę ażeby z mazurem na mnie czekała, a do dziś się błąkam, do domu wrócić nie mogę, pieniędzy nie mam, co raz dalej i dalej mię prowadzą. Jestem ukarany słusznie. Gdy w kraju wojna i Polacy spieszą do obrony powinienem był i ja pójść w legiony, nie o balu myśleć. Lepiej mi było być legionistą, jak teraz żyć w niewoli.

Całuję rączki mamci i przepraszam za wszystkie kłopoty.

Zygmunt.

*
* *

Był to już koniec czerwca, dzień imienin Wandy.

Zwykle, wiele gości bywało w tym dniu i zabawa szła ochoczo. Ale tego roku nie było radości i wesela. Wanda także siliła się, ażeby gości bawić, lecz ich smutek ją gnębił. Nic dziwnego. Dowiedziała się od Matyldy, iż jeszcze niema żadnej nadziei powrotu Zygmunta.

– Jeszcze jest ciągle na granicy hiszpańskiej, trzymają go w niewoli. Zmuszony już był z mojego krzyżyka przy perełkach kilka brylantów sprzedać, bo mu dokucza nędza. Jeden brylant w krzyżyku był tak piękny, iż ten złotnik z bliższego miasta nie mógł go kupić, bo za drogi był dla niego, więc Zygmunt rozmaitymi sposobami starał się, ażeby brylant sprzedano w większem mieście. Tak mię przeprasza za to, iż brylanty sprzedał!...

Matylda opowiada z westchnieniem. a matka na to rzecze:

– Spotkało nas prawdziwe nieszczęście. Lecz jest i nauka dla nas. Gdy w kraju wojna, nie o zabawach i balach myśleć należy. Byłoby lepiej, gdyby mój syn jako legionista służył Ojczyźnie, a nie jako niewolnik stał pod strażą. Spadło na nas nieszczęście prawdziwe.

Panna Wanda zaś z żalem mówi:

— Wszystkiemu jestem ja winna. Zachciało mi się, ażeby pan Zygmunt perełki dla Matyldy przyniósł i teraz tyle zmartwień i cierpień.

– Wojna, to wojna smutnie mówi matka Zygmunta. Podczas wojny należy poważniej na wszystko się patrzeć, a nie bawić się i stroić. Pół roku już minęło, odkąd Zygmunt wyjechał z Warszawy, ażeby się z przyjacielem obaczyć, a oto kto wie, kiedy wróci.

Imieniny panny Wandy przeszły smutno. Goście i krewni wszyscy mówili o rozmaitych zdarzeniach wojennych, o losach Polaków, o Francuzach i niepewnem jutrze.

Wanda czuła, jak gdyby coraz cięższy smutek, bo zdawało jej się, iż biedna matka Zygmunta ma żal do niej, bo przez nią Zygmunt z balu wyszedł.

W parę tygodni potem, wbiega Matylda do Wandy i woła:

— Zygmunt! Zygmunt nasz biedny.

– Co się stało? – Wanda blada pyta.

– Czytaj, bo ja już mówić nie mogę.

Wanda drżąc, bierze papier do ręki i czyta:

— Weźcie moje kochane panie mapę Hiszpanii. Tam poszukajcie królestwo Nawarry, a w tem królestwie jest miasto Pampeluna — wtedy sobie pomyślcie, iż w tem mieście ja biedny niewolnik siedzę.

Czasem zdaje mi się, że to wszystko chyba sen.

A jednak prawda. Jestem w Hiszpanii i to jestem oskarżony o kradzież brylantów. Teraz rozumiem co znaczy w czasie wojny wyruszyć się z domu bez paszportu, bez papierów, bez pieniędzy i bez celu służenia Ojczyźnie. Chciało mi się bawić wtedy, kiedy moi bracia pod broń spieszyli, więc jestem dobrze ukarany.

Gdzieś tam jakąś księżnę. ktoś obrabował szukali złoczyńców, złotnik powiedział, iż ja brylanty sprzedawał. Zakuli mię, odstawili do Pampeluny, sąd, księżna, wyrok, na szczęście przekonali się, że mam perły siostry przy sobie, poznali wyjęte brylanty, no i wypuścili..

Więc teraz wybieram się w drogę, i spodziewam się, iż do Warszawy dojadę.

*
* *

Już pożółkły liście na drzewach, już ptaki odleciały, już przebrzmiały odgłosy wojenne, już Napoleon zawarł pokój w Tylży, w mieście leżącem niedaleko ujścia rzeki, już zostało utworzone „Księstwo Warszawskie“, niby jako nagroda dla Polaków za

ofiarę krwi, a dopiero późno w jesieni dostał się Zygmunt do Warszawy. Wrócił zbiedzony, zmęczony i zawstydzony. Połowę perełek siostry sprzedał w drodze, nie zasłużył się pracą pożyteczną, odbył podróż daleką przymusową.

Witając się z panną Wandą rzekł:

— Posłała mię pani po perełki, więc oto przynoszę, ale biednego wędrowca należy zapłacić."

W rok potem odbyło się weselisko p. Wandy z p. Zygmuntem...

* * *

Ze starych ksiąg odpisała i opowiedziała

Jadwiga.

CHLEB-ŻYWICIEL.

„Daj nam chleba naszego powszedniego".

Codzień powtarzają się te słowa w modlitwie, ale niejeden może nie myśli, może nie zastanawia się, jak ważną jest ta prośba, wymawiana codzień ustami.

Chleb jest nieodzownym warunkiem życia ludzkiego, podstawą pożywienia, bez niego obejść by się nie mogli, ni biedni, ni bogaci i niema nic, co by go zastąpić mogło...

Cała praca rolnika, wszystkie jego wysiłki, obawy i troski mają tylko chleb powszedni na myśli. Modlą się o dobry urodzaj, o błogosławieństwo dla pól swoich, o odwrócenie gradu i posuchy — pobożni ludzie w kościele. Z procesyami obchodzą obsiane niwy i Matce Bożej, jako tej Najmiłosierniejszej Opiekunce ludzi, oddaje się pod pieczę to ziarno kiełkujące w ziemi, ten trud krwawy człowieka. Zebranie bogatego plonu, zwiezienie zboża do spichrzów, to cel, to najpiękniejsza nadzieja, tych, którzy z wiosną wychodzili o świcie i szli za pługiem rzucając siew w ziemię.

Tę szczęśliwą, upragnioną chwilę zbiorów obchodzi się uroczystością dożynków, wszystko się weseli, od pana wioski, aż do najbiedniejszego najmity.

Chleb się urodził!

Nic też dziwnego, że ten ukochany, pożądany chleb, stał się po wszystkie czasy przedmiotem szczególniejszej czci ludzkiej, symbolem dostatku, szczęścia, powodzenia...

W świecie chrześcijańskim doszedł on jeszcze do większej godności, odkąd się stał wyobrażeniem Bóstwa. Kiedy Zbawiciel świata, przy wieczerzy ostatniej chleb łamał i dzielił między uczni mówiąc: Oto ciało moje, bierzcie i pożywajcie, stał się Nim samym — Bogiem. (Pod postacią też chleba bywa w grecko-katolickim kościele udzielaną komunia święta).

Ciało Chrystusowe, a chleb żywiący, to jedno.

Czyż niema go na wykwintnych stołach bogaczy, jako też i wody źródlanej? czyż Piast nie przyjmował nim u siebie gości niebieskich.

Z tej czci i uwielbienia tego najkosztowniejszego daru Niebios, pozostało wiele zabobonów (to jest wiara w cudowną czarodziejską władzę chleba), których nie będziemy ganić, gdyż nie mieszczą w sobie nic brzydkiego, bezmyślnego, lub szkodliwego. Są to raczej nie zabobony, ale piękne, stare zwyczaje, przechowane tradycyą przodków.

I tak chleb musi się znajdować wszędzie, gdzie tylko ma panować dostatek i zdrowie. Nie tylko u naszego ludu i pokrewnych mu szczepów słowiańskich, ale u Niemców, Francuzów i innych narodów, chleb również bardzo ważną odgrywa rolę w zwyczajach i uroczystościach domowych. Nie będę tu wyliczać szczegółów, gdzie jakie i w jakich krajach panują obyczaje i obrządki, powiem tylko, że wiara owa i zabobony tyczące się chleba bywają u wszystkich ludów, a zatem i nas pokrewne. I tak u jednych już nowonarodzonemu dziecięciu wkładają chleb do

kolebki z życzeniem, aby zawsze „było zdrowe i miało mocne ˌzęby". Gdzie indziej znów matka chcąc dziecię swe uchronić od choroby, od tak zwanych uroków, okupia się chlebem i wodą źródlaną, leśnym babkom i dziadkom (postacie fantastyczne). Bierze ułamek chleba, rzuca w krzaki leszczynowe niedaleko źródła i .woła:

Leśne babki, dziadkowie!
Chleb wam daję za zdrowie,
Najedźcie się, napijcie,
Dziecka mi nie urzeknijcie.

Kiedy panna młoda wychodzi z domu, za stanik sukni, lub za koszulę, chleb jej wtykają. Również w swojem nowem gospodarstwie ma zastać chleb, aby go pełno w nim zawsze było. Przy uczcie weselnej kładą przed nią chleb, który ma pierwsza rozpocząć. Korowaj, ciasto upieczone i przyozdobione, nieodzowne przy każdem weselu na Rusi, ma toż same znaczenie, ubłaganie, zaskarbienie sobie łaski tego Chleba-żywiciela.

Kiedy dziewczyna idzie w służbę obdarowuje się ją choćby najmniejszym kawałeczkiem chleba, upieczonym w domu. Ma on dać jej los dobry. a także posiada dar ukojenia tęsknoty za domem.

Ułamek takiego chleba, dany żołnierzowi użycza mu mocy wytrwania w trudach, robi go nieczułym na głód i nędzę. Ten chleb rodzinny, czy podpłomyk, albo moskalik, jak górale nazywają, podany na drogę ręką matki, siostry, lub żony, syci biednego młodego żołnierza duchowo — tam daleko — na obczyźnie — przywodząc mu na pamięć drogie sercu obrazy. Jakiż piękny zabobon!

Chleb upieczony w trzy święta, jak w Wilię, w Nowy Rok i Trzech Króli, a także w dzień św. Agaty, ma posiadać szczególniejszą moc, chronienia ludzi od wszelkich złych przygód i chorób. Potrzeba go zawsze mieć tylko przy sobie, a złe boginki, rusałki, dziwa leśne i rzeczne nie będą miały przystępu. Chleb upieczony w Wielki Czwartek, chroni dom od pioruna, a pola od gradobicia. Nakoniec dla przykładu przytoczę jeden z takich szkodliwych zabobonów, o których wspomnieliśmy. Wierzą n. p. niektórzy nieoświeceni ludzie, iż jeśli się chce poznać „złą kobietę", czyli taką, która zaczarowuje mleko w krowach, aby się źle doiły, wystarczy położyć obok innego jadła chleb na stole. Taka kobieta będzie wszystko pożywać,a chleba się nie dotknie.

Nie zła myśl, że złe unika dobrego, ale zabobon ten, może podać w podejrzenie każdą osobę, którаby przypadkowo chleba nie jadła i narazić ją u ciemnej masy ludu na zemstę, a czasem nawet na niebezpieczeństwo życia.

Dlatego odróżnijmy piękne, starożytne zwyczaje przodków naszych lub niewinne ich zabobony od innych, licznych, głupich i szkodliwych, niosących ludziom krzywdę i zgubę.

Na zakończenie tej pogadanki o chlebie, przesyłamy Wam, polscy żniwiarze i żniwiarki z głębi serca życzenia, by wasza ojczysta gleba rodziła go wam obficie, oby zawsze były pełne śpichrze i stodoły. Oby go miała dla wszystkich dzieci ta ziemia polska!

A. B.

Moje szczęście!

Moje szczęście, cicha piosnka
Przez łzy wyśpiewana,
Moje szczęście, luba wioska
Słońcem wyzłacana.
Moje szczęście, to trud ciągły
By ziarno rozsiewać,
To wytrwała praca w przyszłość
Iść, wierzyć i śpiewać.
Moje szczęście, nie złocone,
Z skarbów nie kowane,
Szarą nicią wśród serc braci
Sercem haftowane.
Moje szczęście, ubożuchny,
Kwiat polny — deptany...
Może kiedyś na mogile
Rozkwitnie nieznany.

Jadwiga S.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka – Druk. A. Rippera w Krakowie.